MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 17. WARSZAWA, 10 KWIETNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

PRZYSZŁOŚĆ GOSPODARCZA ŚWIATA

OD CZASU wielkiej wojny w sprawozdaniach z prac niezliczonych zjazdów i konferencyj politycznych i ekonomicznych, w prasie codziennej i w poważniejszej publicystyce roi się od oświadczeń i wypracowań t. zw. rzeczoznawców, ekspertów, jednakowoż dopiero od niedawnego czasu opinja publiczna, czy też, jak kto woli, przeciętny inteligent, zaczął uświadamiać sobie, że owi „eksperci", to w olbrzymiej większości nie bezstronni rzeczoznawcy w dawnem, dobrem tego słowa znaczeniu, lecz przeciwnie, ludzie zainteresowani w takiem lub innem rozstrzygnięciu danej sprawy, lub też przez zainteresowane grupy wysunięci. Opinja jest niewątpliwie wprowadzana systematycznie w błąd przez owo podstawianie rzecznika stron zainteresowanych na miejsce bezstronnego rzeczoznawczy i manewr ten ma swój znaczny udział w sprowadzeniu na świat dziś panującego zamieszania pojęć. Na wielkiej, światowej arenie działali „eksperci", zaopatrzeni we wszelkie tytuły kompetencji, wysuwani przez wielkie potęgi finansjery międzynarodowej, na terenach lokalnych działały jednostki skromniejsze, uznawane za rzeczoznawców przez naiwną publiczność. W zamieszaniu, wywołanem przez inflację, wahania konjuktur gospodarczych i t. d. oglądano się instynktownie za kimś, „kto się na tem zna" i najczęściej w ten sposób na znawcę polityki ekonomicznej wyrastał spekulant, robiący interesy na eksporcie czy imporcie, a na powagę w sprawach finansowych dyrektor banku, którego bagaż wiedzy nie wychodził poza znajomość techniki obrotu pieniądza, lub odróżnienia dobrego klijenta od niepewnego. Brano bardzo często ekonoma za ekonomistę i skutki musiały być fatalne, a to z kolei przyczyniło się do powszechnego dość zdyskredytowania „ekspertów".

Lecz życie stawia nadal, i to coraz natrętniej, trudne zadania ekonomiczne i trzeba je rozwiązywać. Zawiedziony na oficjalnych i nieoficjalnych ekspertach, obywatel wpada w drugą ostateczność i zaczyna liczyć tylko na „własny rozum", co może być oczywiście chwalebne, nie doprowadza jednak w większości wypadków do wyniku: wnioski wyprowadzane na podstawie poszczególnych faktów, uderzających wyobraźnię, a bez znajomości historji przedmiotu i wielu okoliczności, które na powstanie danego zjawiska ekonomicznego się złożyły, wnioski takie muszą być błędne i przyczyniają się jedynie do powiększania chaosu. Jestem przekonany, że świeżo wydana książka profesora Romana Rybarskiego p. t. „Przyszłość gospodarcza świata" [1]), jest tą pomocą, której inteligencja polska od pewnego czasu od nauki polskiej oczekiwała i którą nauka społeczeństwu dać była winna.

Nie mamy tu do czynienia z owym zainteresowanym ekspertem, o jakim była wyżej mowa. Jest to rzeczywiście pomoc naukowa, w której uczony ekonomista oddaje swoją wiedzę i naukową metodę badania do rozporządzenia czytelnika, pragnącego zorjentować się w gąszczu ekonomicznych spraw świata i wyrobić sobie sąd własny, oparty na szerszych podstawach faktycznych i myślowych. Autor nie pragnie bynajmniej być, jak mówi, „wróżbiarzem", wyznaczać „wyraźnej i prostej drogi, którą pójdzie przyszłość ekonomiczna świata", daje natomiast analizę dzisiejszego położenia, drogi, jakie do niego doprowadziły i tendencje, jakie zarysowały się na przyszłość. Nie jest też prof. Rybarski fatalistą, któryby mniemał, że nieunikniony bieg wypadków popycha nas z fatalną siłą w pewnym kierunku, przeciwnie, przypisuje świadomej woli społeczeństwa wielkie znaczenie w wyborze tego kierunku. Jest to właśnie to, czego nam potrzeba: ścisła naukowa analiza położenia, po której należytem przemyśleniu możemy wybrać kierunek naszych świadomych wysiłków.

Gruntowny rozbiór położenia (podany, dodajmy, w łatwo dla laika strawnej formie, bez zbytniego przeciążenia cyframi), doprowadza autora do konkluzji, że kryzys obecny nie jest zwykłem przesileniem, jakie perjodycznie przebywała gospodarka

---

[1]) Roman Rybarski: „Przyszłość gospodarcza świata", Warszawa 1932.

kapitalistyczna, i które gra sił ekonomicznych automatycznie, po pewnym czasie, przezwyciężała, zaprowadzając napowrót straconą równowagę; przesilenie obecne ma w znacznym stopniu charakter strukturalny, odzyskanie równowagi nie nastąpi automatycznie, musi się do niego przyczynić świadomy wysiłek społeczeństw. W tem świetle szczególnie interesujące dla myślącego czytelnika są rozdziały, w których autor, rozpatruje t. zw. racjonalizację wytwórczości, prowadzącą do „standardyzacji" produkcji, a co za tem idzie do równoczesnej „standardyzacji" potrzeb ludzkich, stworzenia ze społeczeństw ludzkich jakichś jednolitych armij, jednakowo ubranych, jednakowo żywionych i pomieszczonych w jednakowych mieszkaniach.

W rozdziale, omawiającym maszynizm i wpływ maszyny na człowieka, znajdujemy ustęp: „Trudno marzyć o tem, by dzisiejsza wytwórczość porzuciła maszyny i wielkie fabryki, by wróciła do rzemiosła, do gospodarki średniowiecznej, która zresztą nie zawsze była idyllą. Jednakże pożądanem jest i nawet prawdopodobnem, że położoną zostanie tama nadmiernym postępom maszynizmu, że maszyna nie zapanuje bezwzględnie nad całą wytwórczością, całem życiem gospodarczem. Równowaga społeczna wymaga różnorodności typów gospodarstw. Różne formy ustroju gospodarczego mogą istnieć obok siebie. Gdyby natomiast całe społeczeństwo, cały świat stał się jedną olbrzymią fabryką, kierowaną przez nieliczną elitę techników, którzy naprawdę pracują umysłowo, a setki miljonów ludzi były tylko bezmyślnymi sługami maszyny, to mimo dobrobytu, mimo łatwości zaspakajania różnych potrzeb, mimo całej racjonalizacji życia, a raczej dzięki tej racjonalizacji — nie wartoby było żyć na tym świecie"... „Gdy praca nie będzie w człowieku rozwijała różnostronnie jego sił fizycznych i władz umysłowych, nie będzie godną człowieka. I maszyna, która nadmiernie się upowszechni, która wyruguje inne rodzaje pracy, poza jej biernem obsługiwaniem, taka maszyna, choćby była ostatnim cudem techniki produkcyjnej, będzie szerzyła cywilizacyjne spustoszenia". A dalej zdanie prof. A. Siegfrieda o tej niezracjonalizowanej Europie, kultywującej odrębne języki i rozmaite kultury umysłowe: „Z punktu widzenia przemysłowego (pisze prof. Siegfried) te odrębne osobowości są oczywiście przeszkodą, byłoby lepiej, gdyby one były odlane w tej samej formie. Zmniejszenie się kosztów produkcji byłoby wtedy bezpośrednie i sensacyjne".

Kredyt moralny amerykańskich ulepszeń i wynalazków społecznych zmalał u nas bardzo od czasu, gdy w Ameryce kryzys prześcignął bodaj rozmiarami nasz, europejski, a dolar przestał już być ową niewzruszoną w opinji opoką. Sądzę jednak, że prof. Rybarski robi dobrze, gdy, traktując racjonalizację i maszynizm rzeczowo i bez uprzedzeń, przytacza wybryki myślowe nowoczesnych fetyszystów amerykańskich. Rozjaśnia to drogi, na które powinniśmy wkroczyć przy urządzaniu własnego gospodarstwa.

Wszystkie kwestje, zajmujące nas dziś, są w tej książce omówione: stosunek przemysłu do rolnictwa, udział państwa w kryzysie, rola wytwórczości drobnej i średniej i wreszcie kapitalny problem: gospodarka planowa, czy wolność gospodarcza. Autor nie widzi konieczności, żeby wszędzie miała zapanować gospodarka t. zw. planowa z jej powszechną reglamentacją, przeciwnie, poszczególne narody mają przed sobą wolny wybór dróg; jest jednak pewne, że te drogi one same muszą sobie przebijać.

„Ale tak się stosunki w świecie układają" — mówi autor w konkluzji, — „że każdy naród sam będzie musiał porządkować swoje gospodarstwo narodowe, a nie wolno mu rozglądać się, czy gdzieś ze świata nie przyjdzie dla niego pomoc, która zdejmie z jego bark ciężar trosk i odpowiedzialności. Rzecz jasna, że losy gospodarstwa narodowego będą i nadal zależały od tego, co się będzie działo w całym świecie. Ale w dzisiejszym układzie międzynarodowych stosunków nie można niczego budować na tym piasku, trzeba we własnem gospodarstwie narodowem rozwinąć organy jego samodzielnego życia, w niem szukać zabezpieczenia od niepewności losów świata. I w tych warunkach nabiera większego znaczenia świadoma wola kształtowania przyszłości. Zagadnienie, jaki ustrój gospodarczy wybiorą sobie różne narody, zdecyduje o ich bycie. Mimo wielkiej zależności od zewnętrznych wydarzeń, ostateczne rozstrzygnięcia o przyszłości gospodarczej narodu nie zależą od światowej konjunktury, lecz od kierunku i wartości polityki gospodarstwa narodowego. Naród jest kowalem swojego losu".

Wiele przemawia za tem, że kryzys przezwyciężymy wtedy dopiero, gdy całą naszą gospodarkę poddamy rewizji i wiele rzeczy zaczniemy zupełnie na nowo. Do tego musi jednak powstać najpierw w społeczeństwie świadomość celów i dróg. Do obudzenia tej świadomości książka prof. Rybarskiego walnie się przyczynia.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

SZKOCJA I WALJA

UKAZAŁY się przed paru tygodniami w naszych gazetach rewelacyjne wiadomości o ruchach odśrodkowych w Wielkiej Brytanji, mianowicie o nacjonalistyczno - separatystycznych wystąpieniach pewnej grupy ludzi w Szkocji, i o burzliwem zajściu w Carnarvon, stolicy Walji, gdzie zerwano chorągiew Zjednoczonego Królestwa, zwaną *Union Jack*'iem (a nie „chorągiew Union Jacka!") i zastąpiono ją sztandarem z walijskim czerwonym smokiem.

Otóż zjawiska te nie są bynajmniej niczem nowem. Okaże to krótki przegląd dotyczących faktów historycznych.

Szkocja nigdy nie uważała się za część Anglji, lecz za odrębne królestwo, złączone z nią na równych prawach i mogące, kiedy zechce, wypowiedzieć umowę.

Od próby podboju, przedsięwziętej przez Edwarda I z końcem XIII w., oba narody były usposobione wrogo. Zwycięstwo Roberta Bruce pod Bannockburn nad Edwardem II w r. 1314 zapewniło Szkocji niepodległość, ale poprzedzający tę datę okres niesłychanie bezwzględnie prowadzonej wojny nadał na całe wieki kierunek jej polityce. Szkocja weszła w trwały sojusz z Francją i raz po raz napadała na południowego sąsiada, uwikłanego na kontynencie w wojnę stuletnią. Na pograniczu wrzały zresztą, niezależnie od wielkiej polityki, ustawiczne walki o charakterze łupieskim, w których jednak dochodziło nieraz do bitew bardzo poważ-

nych. Słabo zaludniona i uboga Szkocja ponosiła z reguły klęski. Stąd w tym czasie wytworzyło się u jej mieszkańców straszne uczucie nienawiści do Anglików.

Była ona wzajemna. Jeden z najstarszych zabytków średnioangielskiej poezji świeckiej szydzi z okrutnej kaźni narodowego bohatera Szkocji Wallace'a i raduje się, że głowa jego widnieje na Londyńskim Moście jako znak przestrogi dla jego rodaków. Szkockie epos (literackie, nie ludowe) o tymże Wallace'ie Ślepego Harry'ego (koniec XV w.) dyszy wściekłością i zemstą. Wcześniejsze, bo z XIII w. zapewne pochodzące „Żywoty świętych" szkockich mieszczą następującą historję:

Sparaliżowanemu szlachcicowi angielskiemu przyprowadzono jeńca Szkota. Kazał sobie włożyć w zęby trzonek noża, aby go zgładzić osobiście mimo swego kalectwa. Gdy mu to wyperswadowano, usłyszał z ust Szkota opowieść o cudach św. Ninjana i zaczął modlić się do niego o uzdrowienie. Napróżno jednak czekał, zawołał więc pewnego razu: „Nie było co spodziewać się pomocy od Szkota z Galloway. Onby raczej starał mi się zaszkodzić!" — Gdzie powstają takie anegdoty, tam chyba nie kwitnie przyjaźń sąsiedzka...

W rozwoju kulturalnym Szkocji odgrywało wielką rolę współzawodnictwo z Anglją. Z tą myślą tworzono pierwsze wszechnice. Nienawiść do sąsiada objawiła się nawet w języku, który przecie był jedynie djalektem północno-angielskim. Starano się go odpodobnić, zapożyczając się w łacinie i francuszczyznie.

Skończyła się wojna stuletnia, ale nieprzyjaźń szkocko-angielska trwała nadal, a patronowała jej Francja. Z drugiej strony Anglicy dążyli konsekwentnie do opanowania całej wyspy, mieszali się w sprawy szkockie i podniecali niesfornych magnatów przeciw koronie. Cała historja Marji Stuart, jej nieszczęsne małżeństwo z Anglikiem Darnley'em, jego zamordowanie i detronizacja Marji wynikły na tle intryg angielskich. Tragiczna śmierć królowej za wyrokiem sądu angielskiego rozjątrzyła jeszcze zastarzałą ranę.

Gdy Edward I w r. 1296 był panem nizin szkockich, posłał do Londynu wraz z klejnotami koronnemi kamień ze Swue, na którym koronowali się monarchowie szkoccy. Starał się tym sposobem oddziałać na wyobraźnię pokonanych. Lecz oni tłumaczyli to sobie inaczej. Wierzyli starej przepowiedni, że gdzie jest ów głaz, tam muszą kiedyś panować królowie szkoccy. I przepowiednia ziściła się po 300 latach... Wyszło to na dobre obu krajom, ale nie dynastji. Z czterech ostatnich Stuartów, którzy zasiadali na tronie, jeden zginął na szafocie, jeden spędził młodość na wygnaniu, jeden został po trzech latach rządów wypędzony.

Z woli umierającej Elżbiety powołano w r. 1603 na tron syna Marji Stuart, ale zjednoczenie polegało jedynie na osobie króla. Przez cały wiek XVII istniał nieraz mimo tego między obu krajami stan wojenny — i to nawet przed wybuchem wojny domowej, więc w czasie, gdy Anglja pozostawała pod niekwestjonowanemi przez nikogo rządami Stuarta, Karola I.

Taki stan rzeczy wynikał nie tylko ze starej tradycji, ale i z nowszych antagonizmów religijnych. Oba kraje oderwały się od Rzymu, lecz Anglja wytworzyła Kościół państwowy, zależny od monarchy, a dogmatycznie stojący między luteranizmem a katolicyzmem, Szkocja przyjęła surową naukę Kalwina, której konsekwencją był rodzaj teokracji, nie tylko nie poddającej się państwu, lecz wyrastającej ponad państwo. Usiłowali złamać ją Stuarci po restauracji, a prześladowanie fanatycznych zwolenników dawnego porządku obfitowało w czyny krwawe i okrutne po obu stronach.

Z tem wszystkiem dumę narodową Szkotów łechtał mile fakt, że ich dynastja zasiada na tronie angielskim. To też nowe zawikłania wynikły z jej wypędzenia w r. 1688. W obronie Stuartów występowały przedewszystkiem klany górskie, celtyckie i przeważnie jeszcze katolickie, lecz jakobityzm miał zwolenników także na saksońskich i protestanckich nizinach.

Za Anny w r. 1707 przeprowadził rząd angielski unję rzeczową, polegającą głównie na wspólności parlamentu i gabinetu. Dwukrotnie jeszcze porywali się Szkoci do broni — w r. 1745 wtargnęły nawet bitne klany w samo serce Anglji. Ruchy te jednak stłumiono. Trzeba było pogodzić się z losem.

Szkocja pogodziła się z nim tem łatwiej, że unja przyniosła jej nadzwyczajne korzyści materjalne. Uczestnicząc w angielskim handlu i ekspansji kolonjalnej, nieurodzajny i ubogi kraj uprzemysłowił się, zaludnił i zakwitł. Szkoci osiedlali się też chętnie w bogatej Anglji — już za Jakóba I narzekano na ich najazd. Zdolni, zapobiegliwi, oszczędni aż do skąpstwa, robili szybko majątki. Po unji ruch ten wzrósł znacznie. Od tego to czasu datują się tysiączne uszczypliwe dowcipy angielskie na ich temat. Dyktator literacki drugiej połowy XVIII w., Dr. Johnson powiada, że dla Szkota najpiękniejszym widokiem jest gościniec, wiodący na południe.

Do antagonizmu między narodami przyczyniał się i fakt, że Szkoci, wyniesieni na stanowiska naczelne w Anglji, stawali się czasem narzędziami dążeń antykonstytucyjnych korony. Stąd czasopismo, zwalczające system maskowanego absolutyzmu i prawie niemaskowanej korrupcji Jerzego III, nosiło tytuł „Brytyjczyk północny", jego ulubioną postacią był Szkot, radujący się, że rodacy doszli w Anglji do takiego znaczenia. Był jednak ten tytuł i aluzją do „Brytyjczyka", którego wydawał za królewskie pieniądze sławny powieściopisarz Smolett, wielki patrjota szkocki. Po r. 1745 ogłosił on był „Łzy Szkocji", wiersz, biadający nad pognębieniem wolności. Zato angielska wolność nic go nie obchodziła. Podobne musiało być i stanowisko szkockich ministrów Jerzego III.

Lecz Smollet był postacią charakterystyczną i pod innym względem. Założył coś w rodzaju fabryki literackiej, organizując głodnych rycerzy pióra, szukając im wydawców i ciągnąc z tego zyski. Okazał prawdziwie szkocki spryt i przedsiębiorczość.

Dorabiając się w Anglji i dochodząc tam do największych stanowisk, Szkoci pilnie strzegli własnej odrębności. W ich kraju administracja i sądownictwo pozostały w rękach tubylców. Straciwszy po r. 1745 nadzieję oderwania się od Anglji czy narzucenia jej z powrotem swej dynastji, jęli się pracy kulturalnej, naukowej i literackiej — wnet zakwitły historja, filozofja, ekonomja, poezja, proza powieściowa. A wszędzie duch był narodowy, wszędzie pracowano *ad maiorem Scotiae gloriam*. Poezja czerpała obficie z motywów ludowych. Macpherson popełnił swoje fałszerstwa dla dowiedzenia, że Szkocja miała w IV w. epickiego poetę, mogącego

równać się z Homerem. Powieść Scotta, potem Stevensona malowała głównie przeszłość ojczystą. Kultywowano nawet jakobityzm — czysto teoretyczny, lecz będący symbolem poczucia niezawisłości. Rzecz znamienna, że nie położyło mu kresu nawet wygaśnięcie rodu Stuartów.

Wiek XIX przyniósł po wojnach napoleońskich i reakcji czasów świętego przymierza przebudowę stosunków społecznych i politycznych w duchu demokratycznym oraz szerzenie się radykalnych prądów. W Wielkiej Brytanji wybili się wnet na czoło ruchu — Szkoci. Przyczyny szukać należy w ich dziejach kościelnych. Skrajny protestantyzm nauczył ich skrajnej swobody myślenia. Jak w XVI i XVII w. odrzucali wszelki autorytet i opierali się na indywidualnie komentowanem Piśmie Św. (głównie na Starym Testamencie) tak w nowszych czasach oddali się równie śmiałym teorjom społecznym. Rzecz znamienna, że w Szkocji zdarzają się jeszcze pogromy katolików i że miejscem kongresów brytyjskich komunistów jest Glasgow.

Nie znaczy to, aby cała Szkocja była pod względem socjalnym radykalna. Zato cała ma żywe poczucie odrębności. Kultywuje pilnie tradycję. Niektóre pułki szkockie noszą do dziś dnia *kilt*, krótką spódniczkę klanów górskich. ubiera się też w nią król W. Brytanji na pewne uroczystości. Między wyrazami *English* a *British* rozróżnia się starannie, najczęściej jednak używa się przymiotników *Scottish*, *Scotch* lub *Scots*. Spotkałem raz pod szczytem Świnicy dwie panie, które zagadały do mnie po angielsku. „Czy panie Angielki"? — spytałem. — „Nie, jesteśmy Szkotki". Przy dalszej rozmowie wyszedł na jaw sentyment do naszych górali. Przypominali im ojczyste klany...

Uniwersytety pielęgnują przedewszystkiem studja nad rzeczami ojczystemi. Podobną rolę spełnia szereg towarzystw naukowych i literackich, których wydawnictwa stoją na bardzo wysokim poziomie. Istnieje osobne stronnictwo narodowe i separatystyczne — coprawda ma w parlamencie zupełnie znikomą ilość przedstawicieli (bodaj że obecnie dwóch), ale sam fakt otwartego wysuwania hasła odrębności państwowej mówi za siebie.

Znaczna część narodu szkockiego — poza góralami — jest tego samego pochodzenia co Anglicy. Ludność nizin jest saksońska, ich wyższa szlachta normandzka. Tymczasem w Walji przeważa krew gallicka, krew owych Celtów, których Anglosaksoni wyparli w góry podczas podboju południa i środka wyspy. To też między Anglikami i Walijczykami zachodzi poważna różnica charakteru narodowego. Angielskiej trzeźwości, praktyczności, konsekwencji i spokojowi odpowiada fantazja, żywość, wybuchowość, nielogiczność Walijczyków. Oni to dali literaturze zdobywców postać króla Artura, co nie zginął „w ostatniej bitwie na zachodzie", lecz porwany przez opiekuńczą wróżkę, leczy się z ran na wyspie Avalon i pojawi się kiedyś znowu pośród swego ludu, aby obalić panowanie najeźdźcy — Saksona i Normana.

Wkrótce po podboju Normanowie podjęli próby ujarzmienia Walji. Szło ciężko. Górzysty teren, idealnie nadający się do zasadzek i partyzantki, równoważył długo wyższość liczby, uzbrojenia i taktyki. Musiano poprzestać na teoretycznym stosunku lennym. Podbił Walję dopiero Edward I (tem sam, który się targnął na niezawisłość Szkocji). Charakterystyczne podanie głosi, że złamał opór dopiero po masowej rzezi bardów, w których pieśniach czerpali Walijczycy siłę do obrony. Spełniła się stara przepowiednia, że władca Walji będzie ukoronowany w Londynie. Wystawiono tam jego głowę, uwieńczoną na urągowisko.

W każdym razie nawet groźny Edward uznał, że brutalna przemoc nie wystarczy, że trzeba czegoś więcej, aby pokonanych związać ze zwyciezcami. Obiecał uroczyście, że da krajowi księcia, urodzonego w Walji. I dał. Posłał do tego samego Carnarvonu, w którym niedawno zniewałono *Union Jack*'a, swą żonę, spodziewającą się właśnie potomka, a ponieważ przyszedł na świat syn, nadał mu tytuł księcia Walji, noszony odtąd stale przez następców tronu angielskiego. Mimo podstępnej interpretacji przyrzeczenia, krok ten oddziałał na wyobraźnię Walijczyków.

Ale niełatwo było pogodzić się z niewolą. Jeszcze z początkiem w. XV znany z Szekspira Owen Glembwer, podobno czarownik równie zawołany, jak wojownik, przez długie lata urągał potędze Henryka IV. Antagonizm zatarł się po części, gdy do tronu angielskiego doszła walijska dynastja Tudorów. Gdy wygasła ze zgonem Elżbiety, proces asymilacji państwowej był już daleko posunięty i Walja nie sprawiała przez długi czas kłopotów.

Tamtejszy Celt wniósł do skarbca cywilizacji brytyjskiej swą bujną wyobraźnię i oryginalność myślenia, objawiającą się niekiedy nieco groteskowo. Że przy swej zapalczywości, skłonności do chełpienia się dostojnym rodem, dziwnym nieraz pedantyzmie i zabobonności Walijczyk nie stał się ofiarą beletrystyki angielskiej, stereotypowym awanturnikiem i ptakiem niebieskim, to jedynie dlatego, iż lepiej nadawał się Irlandczyk, bliski jego pobratymiec, pod wielu względami podobny, a gorzej zasymilowany wśród wieki trwającego niesłychanego ucisku. Wiadomo, że najprzyjemniej szydzić z tego, kogo się krzywdzi — nic innego nie mówią wyrazy *Polacke, polaczliszka, polnische Wirtschaft...*

Najlepszym przedstawicielem Walji w dorobku literackim Anglji jest zapewne Meredith — bystry, dowcipny, bliski genjalności, ale też nieraz kapryśny, dziwaczny, zawiły. Nawiasem mówiąc, ten wielki postępowiec i liberał miał tyle typowej próżności walijskiej, że starannie ukrywał swe krawieckie pochodzenie. Nie odmówił sobie jednak przyjemności zrobienia tego motywu osią jednej ze swych powieści.

Stosunek Anglji do Walji ułożył się napozór jeszcze szczęśliwiej od jej stosunku do Szkocji. Lecz zachodziła różnica plemienna i językowa. Mowa walijska zachowała się w niektórych okolicach między ludem. Procent nieumiejących po angielsku jest naturalnie znikomy, ale już sam fakt zasługuje na zanotowanie, a wiek XIX przyniósł zwrot do ojczystego języka i ojczystej tradycji. Głośniejsze było odrodzenie irlandzkie, ale i Walja nie pozostała w tyle. Powstały szkoły, szerzące znajomość mowy naddziadów, a w Uniwersytecie walijskim, obejmującym kolegja w Carnarvon, Aberstwyth i Cardiff, mowa ta rozbrzmiewa obok angielskiej i kwitną studja nad zamierzchłą przeszłością, w której kraj był niepodległy, nad zabytkami i rodzimą kulturą. Wszystko to nie ma bojowego charakteru, jaki przybrał analogiczny ruch celtycki w Irlandji, niewątpliwie jednak trąci mocno separatyzmem.

I w Walji rozwinął się silnie radykalizm społeczny — zapewne dlatego, że leży w niej znaczna

część brytyjskich kopalni węgla, urządzonych prymitywnie, obecnie zaś przez szereg lat deficytowych, co dotkliwie odbija się na górnikach, w formie bezrobocia, częściowego lub zupełnego. To też jeżeli w Carnarvon sztandar zjednoczonego królestwa zastąpiono chorągwią z czerwonym smokiem, może sens tego zdarzenia mieści się nie tyle w smoku, ile w kolorze czerwonym...

Separatyzmy istnieją jednak. Podnieca je, płynący z instynktu samozachowawczego popęd do oddzielania się, w którem narody widzą ratunek przed klęskami powojennemi. Współżyły z Anglją, władającą mądrze, szczęśliwie i korzystnie morzami i jedną piątą lądów. Brały udział w budowie imperjum i absorbowały jego ożywcze soki. Przelewały krew w jego obronie. Dziś dla niego ochłódły wobec nastania gorszych czasów.

Z tego zestawienia przeszłości z teraźniejszością wysnuć można i prognozę. Separatyzm szkocki i walijski nie jest na razie groźny. Za dużo wspólnych tradycyj i wspólnych interesów. Takie epizody, jak Carnarvon, mogą być tematem do sensacyjnych depesz, poważniejszego niebezpieczeństwa dla jedności brytyjskiej nie przedstawiają. Ich rozwój zależy od ogólnego stanu rzeczy w imperjum i na wyspie. O ile ten poprawi się, separatyzmy będą miały charakter raczej regjonalizmu, niż dążeń odśrodkowych. O ile jednak stosunki będą psuły się dalej, ruchy te wzrosną i mogą przysporzyć wiele kłopotu — zwłaszcza o ile będą szły równolegle z radykalnemi dążeniami społecznemi.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

PRAWDZIWE OBLICZE SULLI

PAMIĘTAMY dobrze wszyscy to, co w podręcznikach historji mówi się o roli politycznej Sulli, jako o przeciwniku i pogromcy Mariusa. Demokrata i demagog Marius, oparłszy się o wojsko, zniweczył władzę senatu, reprezentującego oligarchję republikańską, ujął władzę w swe ręce i nowe zaprowadził w państwie rzymskiem porządki. Przeciwko niemu i tym nowym porządkom wystąpił zwycięsca potężnego Mitridata, Sulla, i przywrócił władzę oligarchji oraz tradycyjny ustrój republikański.

Przeciwko takiemu poglądowi na rolę polityczną Sulli wystąpił znawca dziejów starożytności, prof. uniwersytetu paryskiego, Jérôme Carcopino w świeżo wydanej książce p. t. „*Sylla, ou la monarchie manquée*“. Opierając się na tekstach, stosując ścisłą metodę historyczną, uzupełnioną przenikliwą intuicją — rysuje nam prof. Carcopino nowe oblicze Sulli, jak się zdaje, ostateczne, takie, które pozostanie w dziejopisarstwie. Wywody francuskiego uczonego nietylko dają logikę wewnętrzną życiu Sulli, lecz wyjaśniają równocześnie zagadkę jego nagłej rezygnacji z władzy dyktatorskiej i usunięcie się w zacisze domowe.

*

Ażeby zrozumieć argumentację prof. Carcopino, trzeba sobie przypomnieć charakter epoki, w której zjawili się Marius i Sulla. Była to epoka przełomowa w życiu Rzymu. Po zwycięstwie, odniesionem nad Kartaginą, Rzym z państwa kontynentalnego, zajmującego półwysep Apeniński, stał się państwem morskiem. Powiększyła się znakomicie przestrzeń, nad którą panował. Zmieniły się w nowem państwie warunki gospodarcze naskutek napływu ludności z nowo podbitych krajów, zmienił się układ społeczny warstwy panującej, wreszcie wpływy kultury greckiej i prądów, idących ze wschodu, zmieniły warunki rozwoju duchowego. Z republiki rolniczej, rządzonej przez starszyznę starodawnych rodzin, stało się państwo rzymskie wielkiem imperjum, w którem o władzę zaczęła się ubiegać arystokracja pieniężna.

Gdy patrzymy na ten przewrót z odległości w czasie, jest dla nas rzeczą zupełnie jasną i oczywistą, że do nowych zgoła warunków politycznych, społecznych i gospodarczych musiał być przystosowany ustrój państwa, forma rządów, administracja i t. d., iż w nowych warunkach nie mogły się ostać dawne obyczaje i dawne wzory moralne, iż dokonać się musiało głębokie przeobrażenie, które dla pokolenia, wyrosłego w dawnych warunkach, musiało się wydawać katastrofą. Przeobrażenie to dokonało się nie drogą ewolucyjną, lecz rewolucyjną. Rewolucja rozpoczyna się od reform Grakchów, a kończy się ujęciem władzy przez Juljusza Cezara.

*

Na połowie drogi tej rewolucji stoi Sulla, którego działalność reformatorska przypada na lata 82 — 79 przed Chrystusem. Zabezpieczywszy przez szereg zwycięstw wschodnie granice państwa, zjawia się on w Italji, dokonywa zwycięskiego marszu na Rzym, znosi wojska Marjuszowe, bierze w swe ręce całkowitą władzę i przez krwawy terror nakazuje sobie bezwzględny posłuch.

Dokonawszy tego, przekreśla wszystko, co było wprowadzone nowego przez „demokratów” i ustanawia nowe porządki — nowe prawa i nowych ludzi. W tem miejscu rozchodzą się poglądy prof. Carcopino z opinjami dotychczas wygłaszanemi. Dowodzi on, opierając się na pracowicie nagromadzonych dowodach, iż reformy i zarządzenia Sulli nie zmierzały wcale do przywrócenia dawnego porządku i do oddania władzy staro-rzymskiej oligarchji, lecz miały na celu utworzenie nowego ustroju — monarchicznego. Sulla — jak wykazuje prof. Carcopino — zdawał sobie dokładnie sprawę z przeobrażenia, jakie się dokonało w nowem państwie rzymskiem, i chciał mu dać ustrój, odpowiadający nowym warunkom. Ambicję osobistą i bezgraniczne pragnienie władzy złączył i oddał na usługi celom szerszym i powszechniejszym, chciał przez zmianę ustroju zabezpieczyć wielkość Rzymu. Chciał, słowem, dokonać tego, co w kilka dziesiątków lat później stało się dziełem Cezara. Tragedją Sulli było zaś to, że stosunki nie były jeszcze dojrzały do tego stadjum, w którem było możliwe utrwalenie nowego porządku. Były jeszcze zbyt silne dawne tradycje i zbyt liczni ludzie do nich przywiązani. Nowe potrzeby nie znajdowały zrozumienia w ówczesnem pokoleniu. Sulla złamał siłą i terrorem swych prze-

ciwników, nie miał jednak na kim się oprzeć w swej działalności reformatorskiej. Arystokracja stanęła przy nim. Jej chodziło o zniszczenie „demokratów“, lecz miała przy tem swoje cele stanowe — chciała wrócić do władzy i do dawnego ustroju. Gdy stojący po jego stronie przedstawiciele wielkich rodów przekonali się, że Sulla zamierza władzę, odebraną „demokratom“, skoncentrować w swem ręku, gdy zobaczyli, że przeprowadza prawa, które odsuwają od steru państwem senat, a jemu dają prerogatywy monarchy, wówczas zwrócili się przeciwko niemu, wspierając się na potężnem jeszcze wśród ludności Italji przywiązaniu do tradycyjnych form życia. Walkę z uzurpatorem ułatwiło arystokracji to, że nie mając innego oparcia, dobrał sobie pomocników i wykonawców wśród ludzi nowych — wyzwoleńców i cudzoziemców. Ci ludzie nowi nie byli niczem związani z przeszłością Rzymu, główną zaś sprężyną ich działania były interesy osobiste i chęć zysku doraźnego. Sprawa Sextusa Rosciusa, która dała młodemu Cyceronowi pole do popisu przed sądem, odsłoniła przed współczesnymi i przed potomnością oblicze jednego z najpotężniejszych faworytów Sulli, niejakiego Chrysogonusa. Słynna mowa Cycerona *„Pro Roscio“* jest fascynującym obrazem działalności i występków służalców dyktatora, którzy pod osłoną jego imienia i potęgi załatwiali swoje interesy i zaspokajali w sposób brutalny i bezwzględny apetyty ordynarnych parwenjuszy.

*

Odsłonięcie oblicza moralnego przedstawicieli nowego porządku przy okazji owego głośnego procesu Sextusa Rosciusa stało się bezpośrednim powodem usunięcia się Sulli z widowni politycznej. Okazało się, że arystokracja jest przeciw dyktatorowi. Był on zaś człowiekiem przenikliwym, miał umysł nawskroś polityczny. Gdy przeto doszedł do wniosku, że jego zamiary nie dadzą się urzeczywistnić, gdy przewidział, że upadek jest konieczny, wówczas ustąpił dobrowolnie, złożył wszystkie urzędy, wyrzekł się nieograniczonej władzy w potężnem państwie i usunął się w zacisze domowe.

„Sulla — powiada w zakończeniu prof. Carcopino — nie należał do rzędu tych polityków, którzy kochają władzę, lecz jej nie użytkują, ani tych władców, którzy tolerują fakt, że są tolerowani. Popchnęła go do działania duma rasowa, gorącość temperamentu, palące pragnienie wolności i rozkazywania. Lecz w działaniu, jak to się zdarza ludziom silnym, poznał samego siebie; w miarę zaś rozwoju jego ambicji, rozum i patrjotyzm kazały mu przez zadowolenie swych instynktów władczych szukać zadośćuczynienia potrzebom Italji i jej prowincyj, i dążyć do rozwiązania problemu światowego jedności rzymskiej. Potem, gdy sobie zdał sprawę z tego, iż dla dokonania swego dzieła, musiałby się zdecydować na nowe hekatomby, które może nawet nie doprowadziłyby do celu, odszedł krokiem stanowczym, z podniesionem czołem; bo w polityce rzeczą główną jest mieć rację; bo był pewien, że przyszłość, prędzej lub poźniej, tę rację mu przyzna. Jeśli zdolność przewidywania znamionuje męża stanu, to któż bardziej, niż Sulla, zasługuje na tę nazwę? Dzieło, które podjął, nie było cofnięciem się ku przeszłości; celem jego było przystosowanie Rzymu, przez monarchję powszechną, do jego niezmierzonych terytorjów i do różnorodności zamieszkującej je ludności. Inni po nim zbudują Imperjum, lecz po raz pierwszy zjawiła się myśl o niem w jego głowie... Z wielką dokładnością widział Sulla, jakie warunki były potrzebne dla osiągnięcia powodzenia. Monarchja, w której niezbędność wierzył i którą chciał urzeczywistnić natychmiast, wymagała: współpracy arystokracji, pełnego oddania się armji i entuzjazmu powszechnego, wspartego na pewnego rodzaju mistycznych prądach, ogarniających ludność. Bez istnienia tych wszystkich warunków równocześnie, monarchja musiała zginąć...“.

Taką była tragedja Sulli. W świetle, rzuconem na Sullę przez prof. Carcopino, staje się zrozumiałą linja jego życia oraz będąca dotychczas zagadką jego abdykacja. Postać jego nabiera wyrazu i wielkości.

STANISŁAW KOZICKI

WSPÓŁCZESNY STAN ASTRONOMJI

GDY A. D. 1931 astronom wymawia słowo „Kosmos”, skłonny jest do wyobrażania sobie gumowego, kulistego balonika. Wszystko, co leży na powierzchni balonika, jest rzeczywiste i poznawalne. Wszystko, co na niej nie leży, jest metafizyczne. Balonika nie tworzy, broń Boże, materja ani energja, ale przestrzeń fizyczna. Nie jest ona bynajmniej nieskończenie rozciągła, nieprawdziwa jest też w odniesieniu do niej szkolna geometrja Euklidesa.

Porównanie z balonikiem może się wydawać w pierwszej chwili trochę niepokojące, ale wyjaśnimy je zaraz. Powierzchnia balonika wyobraża w dwóch wymiarach to, czem w trzech wymiarach jest rzeczywista przestrzeń światowa. Gdybyśmy dawne wyobrażenie nieskończonego, euklidesowego wszechświata zechcieli w podobny sposób przenieść do dwóch wymiarów, to wypadłoby przedstawić sobie powierzchnię płaską np. nieskończenie rozciągłego arkusza papieru. Ale to wyobrażenie nie odpowiada rzeczywistości. Okazuje się, że linjami najmniejszej odległości dwóch dowolnych punktów fizycznych nie są linje proste, jak na płaskim arkuszu papieru, ale linje zakrzywione, jak na powierzchni kuli, np. na powierzchni balonika, lub na powierzchni Ziemi. Gdybyśmy się posuwali w przestrzeni kosmicznej wciąż w jednym kierunku, wówczas musielibyśmy powrócić wkońcu do punktu wyjścia, podobnie jak podróżny, objeżdżający Ziemię naokoło. Kosmos jest więc skończony, chociaż nigdzie nie ma krańców, podobnie jak skończona ale nieograniczona jest powierzchnia Ziemi. To odkrycie sprawia w pierwszej chwili niejaki kłopot, bo jest sprzeczne z zakorzenionemi w nas fałszywemi intuicjami. Tak samo absurdalne musiało się wydawać z początku pojęcie kulistości Ziemi, wprowadzone do nauki jeszcze przez starożytnych Greków. Jakże sprzeczne z intuicją rzekomo abso-

lutnych kierunków „w górę“ i „na dół“ było naprzykład wyobrażenie antypodów! Gdy porównamy rewolucyjność teoryj kulistości Ziemi i skończoności przestrzeni światowej, wówczas ta droga nie wydaje się nam tak niesłychana, jak z początku. Jednakże chodzi tu o tezę bez porównania ogólniejszą, bo nie o kształt okrucha materji, ale o strukturę całej rzeczywistości fizycznej.

Podobnie, jak można obliczyć powierzchnię i promień Ziemi, tak obliczyć też można z danych astronomicznych — objętość i promień Kosmosu. Przypuszcza się, że promień ten wynosi kilka miljardów lat światła. Rokiem światła nazywamy odległość, przebywaną przez promień świetlny w ciągu roku. Ponieważ prędkość rozchodzenia się światła wynosi 300000 km/sek, więc rok światła wyrazimy w kilometrach, mnożąc 300.000 przez liczbę sekund w roku (otrzymamy 9,5 biljonów km). Ten niewyobrażalny przestwór usiany jest mrowiem wszechświatów — wysp (ang. *island universe;* w terminologji naukowej zwykle — mgławica pozagalaktyczna). Średnia odległość dwóch sąsiednich wszechświatów—wysp jest rzędu miljona lat światła. Liczba wszechświatów w Kosmosie znana jest niedokładnie. Niedawno [1]) oceniano ją na pół biljona.

Gdybyśmy chcieli umieścić wszechświaty — wyspy na naszym baloniku, który jest modelem przestrzeni kosmicznej, moglibyśmy sobie wyobrazić mrowie dwuwymiarowych pyłków, trzymających się jego powierzchni i tak małych, że niedostrzegalnych nawet w najsilniejszych mikroskopach (rzędu 0,00001 mm w średnicy, jeżeli promień modelu wynosi 10 cm). W ostatnich latach spostrzeżono zajmujący fakt, że wzajemne odległości wszechświatów—wysp wzrastają, i to tem szybciej, im są większe. Aby wytłumaczyć to zjawisko, stworzono teorję rozszerzania się wszechświata. Wedle niej Kosmos nie jest statyczny, ale rozszerza się, jak nadymany balonik. Ekspandująca przestrzeń pociąga wszechświaty—wyspy, jak rozciągana guma—przylegające do niej pyłki. Ich wzajemne odległości muszą się zwiększać i to tem bardziej, im większy odcinek rozciągliwej gumy je przedziela.

Co jest przyczyną ekspansji wszechświata? Odzwyczajono się już w odpowiedzi na pytania, jakie są przyczyny faktów, konstruować mechanizmy i powoływać się na mechaniczne prawa. Jedyną przyczyną rozszerzania się Kosmosu, którą jesteśmy w stanie podać, jest liczba λ (lambda), występująca w równaniach Einstein'a i wprowadzona przez niego na podstawie raczej metafizycznych intuicyj, aniżeli danach doświadczenia. Możemy więc powiedzieć, że „λ nadyma Kosmos“.

Wszechświaty — wyspy niezawsze są odosobnione, ale często tworzą archipelagi kosmiczne, liczące po kilkanaście lub nawet kilkaset wszechświatów. Słynny astronom amerykański H. Shapley nazywa takie zbiorowiska supergalaktykami, łącząc tę nazwę z pewną hypotezą.

Czemże jest jednak wszechświat—wyspa? Jest to ogromne zbiorowisko rozżarzonych, promiennych kul gazowych, które nazywamy gwiazdami albo słońcami (o gwiazdach, widzialnych na niebie jako oddzielne punkty, mówić będziemy niżej). Przeciętny wszechświat — wyspa liczy około 300 miljonów gwiazd. Ażeby mieć przed oczami określony obraz, wystarczy pamiętać, że nasze pospolite, codzienne Słońce, jest typem słabej gwiazdy.

Gdzież jednak w tem rojowisku pół biljona wszechświatów, z których każdy promienieje setkami miljonów słońc,— jest miejsce dla nas? Nie pytajmy o siebie, nie pytajmy o Ziemię. Ale gdzież umieścić nasze Słońce?

Jeżeli mamy dość czasu, to zadajmy sobie trud odnalezienia pewnej supergalaktyki. Składa się ona z kilkudziesięciu nieregularnych lub eliptycznych w zarysie obłoków gwiazdowych i z kilkudziesięciu gromad gwiazdowych, znacznie mniejszych, ale zbudowanych nadzwyczaj regularnie, kulisto. Ta supergalaktyka, nazywana przez nas Galaktyką Wielką, liczy około 30 miljardów gwiazd. Od krańca jej do krańca światło bieży ćwierć miljona lat. W jednym z jej obłoków, nazywanym przez ziemskich astronomów Układem Lokalnym, blisko jego środka wpośród miljonów gwiazd, znajduje się i nasze Słońce.

W ojczyźnie Kopernika wiadomo jest zapewne wszystkim, że dokoła Słońca krąży rój żużli kosmicznych, zwanych planetami i planetoidami — a także, iż na jednym z tych żużli narodziła się ludzkość. Napróżno jednak staralibyśmy się odnaleść je w naszym obrazie. Choćbyśmy skalę naszego modelu wszechświata rozszerzyli fantastycznie, najdalsze nawet od Słońca planety w jeden punkt z niemby się zlały. Przypuśćmy naprzykład, że stworzyliśmy model gigantyczny, na którym Wielka Galaktyka ma około 200 km w średnicy. Wtedy najbliższa gwiazda znalazłaby się wprawdzie w odległości aż 2,7 metra od Słońca, ale Ziemię dzieliłaby od niego przestrzeń tylko jednej setnej milimetra. A więc nawet w tej skali odróżniać planety od Słońca byłoby zbyt trudno. Zresztą, w porównaniu ze Słońcem i z gwiazdami wogóle, planety są zupełnie znikomemi okruchami materji.

Te gwiazdy, które oglądamy na niebie gołem okiem lub zapomocą lunet, należą do Układu Lokalnego i najbliższych obłoków Galaktyki Wielkiej. Dalej położone obłoki naszej supergalaktyki tworzą mglisty ślad Drogi Mlecznej. Inne wszechświaty — wyspy widzimy w lunetach tylko jako słabe mgiełki.

Mając przed sobą taki obraz wszechświata, astronom współczesny kieruje przeważną część swych wysiłków ku poznaniu gwiazd. Układ planetarny, którego promień na naszym modelu wyniósłby mniej niż $\frac{1}{2}$ mm, stał się dzisiaj tylko drobnym atomem, zagubionym wśród tryljonów innych. A przecież jeszcze w połowie XVIII wieku mała tylko część tego układu (z pominięciem planetoid i później odkrytych planet: Urana, Neptuna i Plutona) stanowiła niemal cały Kosmos, dostępny ówczesnej nauce ludzkiej. Narodziny astronomji gwiazdowej przypadają dopiero na drugą połowę XVIII wieku. Jej ojcem jest Wiliam Herschel (1738—1822).

Dawna, klasyczna astronomja była właściwie tylko teorję budowy i mechaniką układu planetarnego. Astronomja nowoczesna przeniosła zagadnienia budowy świata i zagadnienia mechaniczne na teren bez porównania szerszy. Ale, niemal jednocześnie, powstała też nowa — nietylko co do zakresu, ale i co do metod badawczych—gałęź astronomji, zwana astrofizyką. Nauka ta zajmuje

[1]) W. de Sitter. *The expansion of the universe.* „*Scientia*“, styczeń 1931.

się fizycznym stanem ciał niebieskich, pomijając ich położenia, kształt i ruchy.

Z danych fizycznych, dotyczących gwiazd, dostępne są naukowemu badaniu: ich jasności pozorne i prawdziwe[2]), ich temperatury; skład chemiczny, ciśnienie i budowa ich atmosfer; średnice, masy i gęstości; wreszcie różne dane bardziej specjalne. Trzeba jednak zaznaczyć, iż w dziedzinie astronomji gwiazdowej oba zasadnicze działy obserwacyjne: astrofizyczny i astrometryczny (klasyczny) wiążą się ze sobą niekiedy wprost nierozdzielnie. Masy gwiazd otrzymujemy z obserwacyj astrometrycznych, ale możemy je także w przybliżeniu określać z obserwacyj astrofizycznych, jak to już zaznaczono. Ruchy gwiazd związane są często ze zmianami ich jasności i t. d.

Z danych fizycznych, dotyczących planet, dostępne są naukowemu badaniu: kształt, jasność i barwa utworów powierzchniowych lub atmosferycznych — przynajmniej w odniesieniu do planet bliższych; skład chemiczny atmosfer; temperatury powierzchni i in. Do charakterystyki fizycznej planety możnaby też zaliczyć dane, wynikające z obserwacyj astrometrycznych, jak np. nachylenie osi obrotu do płaszczyzny drogi okołosłonecznej (od którego zależy rozkład pasów klimatycznych na powierzchni planety), długość doby, długość roku, ciężkość na powierzchni i t. p.

Z tej pobieżnej charakterystyki jest widoczne, jak bardzo astrofizyka rozszerzyła nasze możliwości poznania ciał niebieskich. Zawdzięczamy to przedewszystkiem spektroskopji, której podstawy ugruntowali Gustaw Kirchhoff i Robert Bunsen jeszcze w r. 1859. Jednakże pełne zastosowanie spektroskopji do astrofizyki nastąpiło dopiero w wieku XX. Ostatnie dziesięciolecia przyniosły w tej dziedzinie triumfy nieoczekiwane, zwłaszcza w astronomji gwiazdowej. Gdy nam mówią o masie gwiazd, o budowie ich atmosfer, o rozkładzie ciśnień i temperatur na różnych poziomach gwiazdy — pamiętajmy, że jedyną rzeczą, która dostarczyła nam tych wiadomości, jest punkt świetlny w ognisku teleskopu, nazywany obrazem gwiazdy. Z istnienia i z zachowania się tego punktu umysł ludzki wywnioskował, że w otchłani Kosmosu, na takiej-to-a-takiej odległości, istnieje świat ogromny o takich-to-a-takich rozmiarach, o takiej masie, chemicznym składzie, temperaturze i t. d. i t. d.

[2]) Za miarę jasności prawdziwej służy zwykle t. zw. jasność absolutna gwiazdy, t. j. ta jasność, którąby gwiazda posiadała, gdyby jej odległość od obserwatora wynosiła 32.6 lat światła.

I to jednak nie mogło człowieka zadowolić. Zadał on sobie pytanie, jakie są losy gwiazd, jaki ich rozwój i koniec (słynna teorja amerykańskiego astronoma H. N. Russell'a) i jaka jest ich wewnętrzna budowa (teorje znakomitych uczonych angielskich A. S. Eddington'a i J. H. Jeans'a). Zdumiewające postępy fizyki wraz z niezawodnym aparatem analizy matematycznej otworzyły przed nami wnętrza tych dalekich światów. Tam, w temperaturach, liczonych na dziesiątki miljonów stopni i pod ciśnieniami rzędu kilkudziesięciu miljardów atmosfer materja znajduje się w stanie, którego nie umiemy odtworzyć w żadnem z ziemskich laboratorjów. Być może nawet, że z badania tych pieców kosmicznych fizyka ziemska wyciągnie dla siebie niejedną pożyteczną naukę.

Moglibyśmy tu roztoczyć jeszcze wiele zdumiewających obrazów kosmicznych, moglibyśmy podać wiele faktów, przejmująco potężnych. Ale to, co zostało powiedziane, wystarczy może chociaż do słabego oświetlenia współczesnego stanu astronomji. Nie chodziło tu o obraz zupełny. Chodziło tylko o zwrócenie uwagi na pewne osiągnięcia i na pewne nastawienia poznawcze. Kto chciałby przeżyć je pełniej, niech się zwróci do stosownej literatury. Gdy zaś, kosztem niewielkiego wysiłku, zbliży się do tej wspaniałej budowli, jaką stanowi dzisiejsza astronomja, wówczas głębokie zadowolenie estetyczno-intelektualne będzie dlań sowitą nagrodą.

JEREMI WASIUTYŃSKI

RUDYARD KIPLING

PIEŚŃ DZIECIĘCA

Ojczyzno nasza! Przyjmij ślub,
Że, gdy wstąpimy w życia bój,
Dla ciebie każdy będzie znój,
Dla ciebie miłość aż po grób

Ojcze na niebie! Usłysz nas,
Dopomóż dzieciom, gdy wołają,
Że z wieku w wiek budować mają
Dziedzictwo mocne i bez skaz.

Naucz nas dźwigać jarzmo zmłodu —
Rzetelnie, pilnie i wytrwale,
I Prawdę wyznacz nam w udziale,
Przez którą żyje duch narodu.

Naucz nas samowiedzy jasnej,
I jak być zawsze panem siebie,
Żeby nie chromą dać w potrzebie,
Nie czczą ofiarę z woli własnej.

Naucz, że w Tobie sąd nad nami,
A nie w przyjaciół naszych ręku,
By z Tobą iść, a nie znać lęku
Przed tłumów łaską lub groźbami.

Naucz, niech hartu nam nie strawi
Strach śmierci, ani chęć krzywdzenia,
Oparciem bądźmy dla cierpienia —
Pod Tobą w mocy męskiej prawi.

Naucz pić rozkosz z wód źródlanych,
I z prostych się radować rzeczy,
Pogodnie kochać ród człowieczy
I nie pamiętać krzywd doznanych.

Ojczyzno nasza! Dumo snów!
Za którą ojce legli w grób, —
Ziemio matczyna! Tobie ślub
Na wierność rąk i serc i głów.

Przełożył
STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

Rozbita szyba—Jakie można przez nią zobaczyć perspektywy? — Dusza od żelazka i... bezduszność

PRZED kilku dniami w prasie warszawskiej czytać można było następujące doniesienie:

„Nocy ub. w magazynie obuwia czeskiej firmy „Bata“ (Marszałkowska 138) znowu została wybita środkowa szyba wystawowa, asekurowana zresztą, wartości 1.500 zł. Sprawcą okazał się Czesław Królak (Freta 5) szewc, bezrobotny, którego zatrzymał policjant i przeprowadził do komisarjatu. Przy Królaku znaleziono duszę od żelazka, którą wybił szybę.

Zaznaczyć należy, iż od chwili otworzenia wspomnianego magazynu obuwia, jest to już czwarty wypadek wybicia szyb. Obecnie w bramie wspomnianego domu znajduje się posterunek policyjny, który ma stanowić ochronę sklepu“.

Niewątpliwie, czyn bezrobotnego szewca, Królaka, jest karygodny. Należy wyrazić uznanie sprawności policji, której udało się pochwycić winowajcę i przekazać go w ręce sprawiedliwości. Można także wyrazić ubolewanie, że ofiarą przykrego zdarzenia padł oddział warszawski firmy, której rozrost i szybkie zdobywanie rynków w szeregu państw europejskich jest pięknem świadectwem zdolności organizacyjnych, przemysłowych i kupieckich pobratymczego nam narodu czeskosłowackiego. Czy wszelako zdarzenie, wyżej przytoczone, nie nasuwa żadnych więcej uwag, żadnych innych refleksyj natury ogólniejszej?

— — — — — — — — — — — — —

Entuzjazm, z jakim doniedawna spostrzegano niemal dobre tylko strony „postępu”, wyrażającego się w wypieraniu dawnych, drobnych warsztatów rzemieślniczych przez nowoczesną, masową, zracjonalizowaną produkcję fabryczną, sam z kolei coraz widoczniej zaczyna okazywać się czemś... przestarzałem. W Anglji, która pierwsza niegdyś wkroczyła była na drogę rozwoju wielkokapitalistycznego, co w ciągu lat stukilkudziesięciu zapewniło narodowi angielskiemu rosnącą wciąż potęgę polityczną i dobrobyt, tęsknoty za minionym, średniowiecznym ustrojem rzemieślniczo-cechowym poczęły budzić się, zanim nawet system dzisiejszy odsłaniać zaczął swe głębokie niedomagania, wchodząc w stan obecnego, przewlekłego przesilenia. W swojej „Krótkiej historji Anglji”, wydanej w r. 1917, G. K. Chesterton [1]) w bardzo znamienny sposób przeciwstawia się utartemu poglądowi, jakoby ów średniowieczny system cechowy „przeżył się” i z natury rzeczy niejako ustąpić musiał miejsca formom rzekomo doskonalszym, a przypomina, iż był on niszczony przemocą, wśród zamieszek, grabieży i wybuchu niepohamowanej chciwości nowych warstw możnowładczych, tak charakterystycznego dla epoki początków Reformacji: „Może być” — zauważa — „iż Caesar nie czuł się całkiem zdrowy rankiem w dniu Idów Marcowych. Ale powiedzieć poprostu, że ustrój cechowy przeżył się, jest mniej więcej równie prawdziwe, jak powiedzieć, że Caesar spokojnie zgasł z przyczyn zupełnie naturalnych u stóp posągu Pompejusza“. Już w pierwszych latach po wojnie światowej rozpoczął się w Anglji żywy ruch pod hasłem t. zw. „dystrybutyzmu“, wyraźnie głoszący wyższość systemu rzemieślniczego Wieków Średnich nad teraźniejszą, „standardyzowaną“ wytwórczością wielkiego przemysłu fabrycznego. Kiedy zaś zagadnienie bezrobocia i u nas, i w całym świecie naszej cywilizacji staje się coraz bardziej piekące, cóż dziwnego, iż najnowsza myśl ekonomiczna przyznaje rację niedocenionemu przed stu laty poglądowi Sismondi'ego, że „zastąpienie człowieka przez maszynę jest tylko wtedy korzystnem, gdy ten człowiek gdzieindziej znajdzie zarobek“ [2]).

Oczywiście, nie zamierzam, z okazji rozbitej szyby, rozstrzygać w sposób uproszczony wielkich i bardzo złożonych zagadnień kryzysu dzisiejszych form ustroju społeczno-gospodarczego, jak również możliwości ich naprawy. W przygodnym fejletonie ograniczyć się pragnę do paru tylko uwag marginesowych, ubocznych, dotyczących ponadto tych jedynie gałęzi przemysłu, które dostarczają obuwia i odzieży. Stawię proste pytanie: czy Europejczyk współczesny ubrany jest i obuty lepiej, aniżeli był przed laty np. pięciuset? Czyż są postępem owe wielkie wytwórnie dzisiejsze, gdzie ten, kto szyje płaszcze albo trzewiki, nie zobaczył nawet nigdy tego, kto je będzie nosił, nie zna jego cech odrębnych, jego potrzeb, jego upodobań? We Florencji, w Wiekach Średnich — jak twierdzi Burckhardt — każdy ubierał się, jak mu się żywnie podobało, niczem na balu maskowym podczas karnawału... Cóż świat zyskał na doskonałości z tej racji, że człowiek coraz to bardziej wyrzeka się swoich indywidualnych gustów nawet we własnym ubiorze, produkowanym seryjnie, tysiącami według tego samego wzoru, zmienianego co jakiś czas wskutek postanowienia jakichś paryskich czy londyńskich „prawodawców“ mody i powtarzanego następnie w sposób coraz bardziej tandetny przez wielki, „przeznaczony dla mas“ przemysł konfekcyjny czy mechaniczne fabryki obuwia? Cóż, doprawdy, jest korzystniejszego dla rozwoju człowieka i jego kultury, w tej przepisowej, jak drelichy więzienne, monotonji?

Jest kwiecień właśnie, niedawno obchodziliśmy święta wielkanocne, i gdy piszę o dzisiejszych losach rzemiosła szewskiego u nas, myśl odruchowo całkiem zwraca się ku pamiętnemu kwietniowi z przed lat stu trzydziestu ośmiu, kiedy majster szewski Jan Kiliński, na czele rzemieślników warszawskich, wypędzał ze stolicy Polski pułki rosyjskie Igelströma. Niewątpliwie, mechaniczne wytwórnie obuwia nie mogą poszczycić się tradycją tak czcigodną. Nie oznacza to, oczywiście, wcale, by robotnicy ich nie mieli być dobrymi, bohaterskimi może nawet żołnierzami swojego kraju. Wydaje się wszelako dość naturalnem, że duch inicjatywy, śmiałość decyzji, poczucie niezależności i godności, których wyrazem było powstanie Kilińskiego w r. 1794, łatwiej zawsze wyrobić się mogą u ludzi, przyzwyczajonych do pracy na własny rachunek i na własnym, przez siebie prowadzonym warsztacie... Kiliński postanowił „uszyć buty“ Moskalom na dzień Rezurekcji. Czy myśl taka zaświtałaby mu chociaż w głowie, gdyby był np. nie szył butów, ale zawsze przez, całe życie, wybijał w nich jedynie dziurki do przetykania sznurowadeł, w myśl obowiązujących reguł „podziału pracy“ w nowoczesnej, zracjonalizowanej produkcji fabrycznej?

---

[1]) G. K. Chesterton: *„A short history of England“* Londyn, Chatto & Windus, koniec rozdziału *„The rebellion of the Rich“*.

[2]) Patrz R. Rybarski: „Przyszłość gospodarcza świata“, Warszawa, 1932, str. 107.

Do dziś nie została zapomniana, zrodzona nad kopytem szewskiem poezja Hansa Sachsa, wielbionego przez Goethego jako „nieśmiertelny typ naiwnej duszy ludu“, rozsławionego przez „Śpiewaków norymberskich“ Wagnera. Ale pieśń, która powstaćby miała we współczesnej, mechanicznej fabryce obuwia, nie jest chyba nawet muzyką... przyszłości.

— — — — — — — — — — — —

Powtarzam: z głębokim szacunkiem spoglądać należy na policjanta, pilnującego całości szyb firmy „Bata“, jako na wyobraziciela ładu prawnego, spokoju, bezpieczeństwa, które władza państwowa każdemu zawsze jaknajskuteczniej zapewnić powinna. A jednakże... jest coś niemal patetycznego w tej groteskowej duszy od żelazka, przy której pomocy bezrobotny szewc Królak protestował przeciwko bezdusznej, masowej wytwórczości fabrycznej, zagrażającej zniszczeniem tradycyjnych podstaw bytu i rozwoju rzemiosła.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

DYSKUSJE PRASOWE W ZESZŁYM TYGODNIU ześrodkowały się głównie na sprawie sojuszu polsko-francuskiego, i poza nielicznemi wyjątkami, uwydatniły jaskrawo, jak trudno jest opinji polskiej zrozumieć Francję polityczną. Najjaskrawiej z pewnością uwydatnił to artykuł półurzędowej „Gazety Polskiej“ z ostatniej niedzieli. Asumpt do dyskusji dał wywiad jednego z przedstawicieli radykalnej opinji francuskiej, reprezentującego krytyczne względem Polski nastroje. Cała prasa znalazła w tem okazję do zastanowienia się nad pytaniem, czemu idea tak naturalna, tak w danych warunkach konieczna, jak sojusz polsko-francuski, napotyka w klasycznym narodzie „zdrowego sensu“ na pewien, raczej irracjonalny, opór? Ale tylko jedna „Gazeta Polska“ odpowiedź na pytanie znalazła — w banale kancelaryjnym. Tak okrągło brzmi oświadczenie: „Od czasów, kiedy (sojusz) zawarto, do dziś — wartość Polski jako sojusznika niewątpliwie wzrosła i to bardzo znacznie wzrosła. Wzrosła raz dlatego, iż pomnożyły się znakomicie nasze siły, zarówno materjalne jak i moralne, dlatego że okrzepła nasza struktura państwowa, powiększyła się ludność, ustaliły się granice. Ale wartość nasza wzrosła także i dlatego, iż w ciągu tych lat minionych sojusznik polski okazał się sojusznikiem rozsądnym“ etc. Ma swoje wartości, wartości potoczystej frazy, styl kancelaryjny, w którego tok wyrażenia „siły zarówno materjalne, jak i moralne“, „pomnożyły się znakomicie“, etc. — wpadają tak naturalnie. Ale oczywiście banalność takich wyrażeń nie ma nic wspólnego z analizą rzeczywistości, czy to w Polsce, czy we Francji. W danym razie zaś chodzi szczególnie o zbadanie nastrojów w tej ostatniej. Nie przesądzajmy w danej chwili, czy istotnie nasze „siły moralne“ tak znakomicie pomnożyły się w ostatnich latach; chodzi o to, czy w rzeczy samej Francuzi umieli ocenić tę atrakcję. Nie rozstrzygajmy też, jak dalece wzrosły nasze „siły materjalne“, a więc np. jak bardzo zaznaczył się rozkwit gospodarczy kraju w ostatnich latach. Ważną jest kwestja, czy rozkwit ten, jak nas uderza, tak i sojusznikowi wpadł w oko.

FRANCJA POD WIELU WZGLĘDAMI JEST SZCZEGÓLNIE TRUDNYM dla Polaka do zrozumienia krajem. Od dziesięciu przeszło lat wychowują się w niej liczne zastępy polskich stypendystów i młodzieży uniwersyteckiej, a mimo to — jak mało pomnaża się u nas rzeczywista wiedza o tym kraju, jak mało myśl polska przypomina w swych poruszeniach myśl francuską, jak mało naogół Polak skorzystać potrafi z głębszych wartości francuskiej cywilizacji. Zaniesiona zzewnątrz śmieciem międzynarodowem, jak może żadna inna, w kształcie swym dzisiejszym łatwo obserwatorów pobudza do błędnych i powierzchownych uogólnień, niełatwo zaś pozwala przeniknąć do swego wnętrza. W szczególności najmniej znana i rozumiana jest u nas psychologja polityczna Francuza, w której obok znanych cech, co sprawiają, że tak trudno Francuzem rządzić, są również właściwości, będące nader potężnym czynnikiem francuskiej politycznej siły. Przy tak bardzo zaakcentowanych różnicach djalektycznych między partjami, trudno zazwyczaj spostrzec obserwatorowi imponujące i wielce realne zjawisko francuskiej jedności narodowej. Wyraża się ono z konieczności w wielkiem podobieństwie praktycznem programów wszystkich partyj, z wyjątkiem chyba najjaskrawszych. Nic naturalniejszego, jak ten rezultat, w kraju o tak długiej, aczkolwiek obfitującej w sprzeczności wewnętrzne historji. Jeśli zjawisko francuskiej jedności narodowej jest tak zamaskowane, to dlatego przedewszystkiem, że w przeciwieństwie do Anglji, zamiłowanie do djalektyki, i do uwydatniania doktrynerskiego różnic „ideologicznych“ jest tam mocno zakorzenione. Ten gust narodowy ułatwia egzystencję licznym partjom i doktrynom politycznym, a pozatem powoduje także, iż w prasie i w literaturze niezawsze można znaleźć wskazówkę co do tego, jakie są istotne czynniki siły narodu francuskiego. Nie wszyscy propagatorzy francuskiej literatury umieli nas o tem pouczyć. Że jeden przytoczymy przykład — czy Boy, pracowity tłumacz, a w rozumieniu wielu czytelników — także reprezentant kultury „francuskiej“ w swej publicystyce oryginalnej — zbliżył nas czy oddalił od Francji — ? Nikt zapewne tak się nie przyczynił do rozpowszechnienia w Polsce błędnych, bo niesłychanie jednostronnych wyobrażeń o tym narodzie. Czy działalność Boya choć trochę przygotowała społeczeństwo polskie do rozumienia psychologji politycznej Francuza? — czy raczej pouczyła, że Francuz tak wyłącznie zaprząta swą uwagę kwestją „reformy seksualnej“, jak publicysta polski? Spytajcie czytelników.

UWZGLĘDNIAJĄC REALNE ZNACZENIA POLITYCZNE francuskiej jedności narodowej, dojść trzeba do wniosku, podyktowanego także obserwacją, że wszystkie stronnictwa francuskie, poza skrajną lewicą, są „narodowe“ — w tym sensie, że wszystkie biorą podobnie pojęty interes Francji za punkt wyjścia. I co do sojuszu polsko-francuskiego nie może być w gruncie rzeczy wielkiej różnicy zdań między lewicowcami a prawicowcami w ostatecznym wyniku. Sojusz ten jest jedną z podstawowych tez francuskiej polityki zagranicznej, w równej przynajmniej mierze, jak współdziałanie polityczne Francji z Małą Ententą. Cała powojenna polityka francuska oparła się o ten system sojuszów i porozumień, konsekwentnie zbudowany. O przebudowie systemu, czy

zastąpieniu go innym niema na serjo mowy, bo by nic innego się nie znalazło. Gdy konieczność zmusza każdego odpowiedzialnego polityka francuskiego do kontynuacji tej polityki, a więc i przymierza z Polską, nie wynika stąd, żeby czynnik sympatji lub odrazy do sojusznika nie wywierał też znacznego wpływu na polityczny obrót rzeczy. Mało sobie zdajemy sprawę, jak dalece na naszą niekorzyść zmienił się ten stan rzeczy we Francji od lat sześciu. Walnym przecież argumentem, ulubionym przez naszą propagandę, było twierdzenie, że tam daleko, na wschodzie jesteśmy placówką cywilizacji typu zachodnio-europejskiego. Jeśli poprzednio argument ten zjednywał, teraz z równą conajmniej siłą obrócił się przeciwko nam. Cywilizacji tego typu dziś — właśnie nie reprezentujemy w naszem życiu prawno-publicznem. Odraza i niechęć, jaką budzimy u wielu Francuzów, nietylko radykałów — musi mieć z konieczności także swój efekt polityczny. Co innego jest wiązać się sojuszem „z narodem bohaterów". Co innego wchodzić z odrazą w pakt, który jest tylko polityczną koniecznością.

O KONKURSIE SZOPENOWSKIM pisaliśmy w zeszłym tygodniu. Polacy wyszli na tej imprezie jaknajgorzej, sąd bowiem konkursowy, nie chcąc skazić idei międzynarodowości i uchybić zasadzie gościnności, potraktował polskich artystów *per non sunt*.

Przytoczymy przykład. Znakomity szopenista Stanisław Niedzielski nawet nie był przez sąd dopuszczony do ostatecznej rozgrywki.

Niedzielskim interesował się Paderewski i wróżył mu świetną przyszłość. Mając lat 19, w r. 1924 grał na dworze królowej rumuńskiej i w Belgradzie u króla Aleksandra. W r. 1926 powitał go Londyn, jako jednego z najwybitniejszych pianistów tegoczesnych. W r. 1927 budził zachwyt w Paryżu i na zaproszenie grał u prezydenta Doumergue'a. W r. 1930 odbył podróż artystyczną po Hiszpanji, grał na dworze królewskim, poczem objechał z koncertami cały szereg miast europejskich, wszędzie owacyjnie przyjmowany.

Oto parę opinij o jego talencie i technice:

„Wielki wirtuoz Niedzielski, jako wykonawca Szopena, wprawił w podziw swoją nieporównaną techniką i uczuciowością tak suggestywną" *(Le Gaulois)*.

„Niedzielski gra Szopena w sposób charakterystyczny i bardzo polski. Recital jego pozwolił nam ocenić w nim wytrawny talent i nadzwyczajną wirtuozerję" *(Paris Times)*.

„Jego interpretacja Szopena, Debussy'ego i Różyckiego wzbudziły entuzjazm. Młody pianista pokazał nam własny sposób pojmowania i to nam dało najgłębsze zadowolenie" *(Monde Musical)*.

„Niedzielski — to piękny artysta, który rozumie nieomylnie Szopena" *(Times)*.

„Niedzielski ma młodość, temperament i dzielność, które pozwalają mu rokować wielką przyszłość... Jego Szopen podbił nas całkowicie..." *(Musical Opinion)*.

„Niedzielski ma znakomitą technikę. W interpretacji Szopena dorównywa Paderewskiemu" *(The Times*, Bournemouth*)*.

„Niedzielski nam pokazał, jako muzyk polski, jak należy grać Szopena" *(Journal de Genève)* i t. d."

Przytaczamy te głosy na dowód, jak bezwzględnie postąpił komitet konkursu warszawskiego z szopenistą własnym, aby tylko nie psuć kompletu olimpijczyków żydowskich. Można sobie wyobrazić rozgoryczenie artysty, cenionego na obczyźnie, którego w kraju rodzinnym Szopena spotyka taki despekt. Nie pozwolono mu nawet porównywać się z Konami!...

NAUKA I LITERATURA

„KSIĘGA PAMIĄTKOWA DZIESIĘCIOLECIA BIBLJOTEKI W BYDGOSZCZY"

WE wspaniałej szacie typograficznej (czy nie za wspaniałej, jak na dzisiejsze stosunki ekonomiczne?) ukazała się księga zbiorowa „Na dziesięciolecie Bibljoteki Miejskiej w Bydgoszczy, 1920 — 1930" (Bydgoszcz, 1930). Składa się na nią nasamprzód kilka gruntownych i cennych rozpraw, dotyczących bibljotek polskich. Na ich czele stoi skreślona przez Teodora Brandowskiego historja Bibljoteki Miejskiej w Bydgoszczy, założonej w końcu XIX wieku przez rząd pruski — w celu germanizacji Pomorza; aż do odzyskania niepodległości księgozbiór składał się prawie wyłącznie z książek niemieckich — książki polskie (np. dzieła Krasińskiego), nieskatalogowane, walały się na strychu; dziś naturalnie bardzo już pokaźną jest liczba książek polskich; są i cenne rękopisy, np. autografy Niemcewicza, Garczyńskiego, Kraszewskiego, Sienkiewicza, Weyssenhoffa, Władysława Bełzy, Brücknera, Stanisława Bełzy (niewydane dotychczas prace nad „Panem Tadeuszem") i innych. Oprócz prac i przyczynków bibljotekoznawczych i bibljograficznych (księdza Jana Kleina, księdza Kamila Kantaka, Feliksa Pohoreckiego, Ernesta Łunińskiego, Adama Lewaka, Józefa Chołodeckiego, Marjana Gumowskiego, Stanisława Srokowskiego, Stefana Vrtela-Wierczyńskiego, Wiktora Hahna, Adama Łysakowskiego) jest w tej Księdze jubileuszowej przyczynek, ważny dla przyszłego wydania krytycznego pism Sienkiewicza, mianowicie jego własnoręczna korekta „Diokiesa, baśni ateńskiej", przechowana w Bibljotece Jagiellońskiej, a szczegółowo opisana przez Aleksandra Birkenmajera. Do dziedziny historji oświaty, literatury i wogóle umysłowości polskiej należą prace: Marjana Szyjkowskiego „Idea Polski, jako „Przedmurza Chrześcijaństwa", Józefa Weyssenhoffa „Polskie kalendarzyki polityczne", Andrzeja Kulwiecia „Kilka szczegółów z życia Andrzeja Towiańskiego", oraz cenna dla historji wychowania w epoce Stanisławowskiej rozprawa Franciszka Stopy o Andrzeju Kantym Trzcińskim, którego autor słusznie rehabilituje, uwydatniając jego rozum i patrjotyzm. Szkic Eugenjusza Wasilewskiego p. t. „Trismegistos" jest wyrazem osobistego uwielbienia autora względem „genjuszu" Hoene-Wrońskiego. Uzupełniają treść Księgi dowcipne aforyzmy Stanisława Brandowskiego „o ludziach a księgach dobrych i złych", przygodne poezje Henryka Zbierzchowskiego, Jana Pietrzyckiego, Witolda Hulewicza, Zuzanny Rabskiej, przedruk sonetu młodzieńczego Hieronima Kajsiewicza („Otwórzcie mi księgarnie wszystkich krajów świata") i następującego wierszyka Marcina Bielskiego:

Który pismo waży lekce,
Czytających słuchać niechce,
Jest podobien ku głuchowi
I niememu dobytkowi;
A kto się kocha w czytaniu,
Bywa z Duchem w rozmawianiu.

Trudy wydania i redagowania pięknej, ozdobionej ilustracjami Księgi wziął na siebie zasłużony dyrektor Bibljoteki Miejskiej w Bydgoszczy, dr. Stanisław Bełza.

IGNACY CHRZANOWSKI

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Zaczynamy się rozkładać. Słynne muzeum naukowe im. Dzieduszyckich we Lwowie (przyrodnicze, etnologiczne, sztuki ludowej, archeologiczne) przestało żyć. Gmach zamknięty na kłódkę, nieopalany, niestrzeżony przechodzi potrochu w stan ruiny. Nie ma kto opłacić kosztów nawet zwykłego dozoru. A są tam skarby, znane całemu światu naukowemu. Opisuje stan dzisiejszy „Kur. Warsz." z 4

kwietnia r. b. Zbiory entomologiczne (zgórą sto tysięcy okazów, zbiór ptaków, wykopaliska staruńskie, jedyny do niedawna kościec mamuta), słynny zbiór sztuki huculskiej i t. d. — wszystko to opuszczone. — Pytanie: czy wie o tem departament kultury i sztuki? Czy w takich warunkach wolno stawiać pałace na banki i zamki myśliwskie, czy wolno łożyć na salony sztuki, na to tylko, aby zniszczyć inne, podejrzane o tendencje narodowe (jak to zrobiono w Warszawie w stosunku do Zachęty), gdy nie stać na uratowanie od zagłady instytucyj podstawowych?

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pomimo bezpośredniego sąsiedztwa z Rumunją i tylowiekowych stosunków z tym krajem, nader mało wiemy o literaturze rumuńskiej. Niewiedzę tę podzielamy zresztą z całą Europą, na której losach kulturalnych i politycznych literatura ta niewiele zaważyła, zarówno swą energią jak ciężarem gatunkowym. Przed wojną wiedziano tylko (z nazwiska zresztą) o Carmem Sylwie, którą to koronowaną osobistość literacką popularyzowały przedewszystkiem pisma humorystyczne, przedstawiające rzekomy jej turniej poetycki z równie koronowanym poetą, królem czarnogórskim. Obecnie, dzięki niestrudzonej działalności informacyjnej prof. Wędkiewicza i p. Kasterskiej, mamy już lepsze pojęcie o rumuńskiej literaturze, zwłaszcza że stojący obecnie u steru rządów wybitny uczony i literat rumuński, prof. Jorga, czyni wszystko, by nawiązać żywą łączność kulturalną między Polską i Rumunją. Jednym z owoców tej łączności jest książka, wydana pięknie przez księgarnię Kuglina w Poznaniu, a nosząca tytuł „Tematy rumuńskie". Autorem tej książki jest Emil Zegadłowicz. Od niego pochodzi tytuł (przypominający dawne „Tematy chińskie"), ciekawa przedmowa informacyjna, przekład trzydziestu zgórą wybranych utworów poezji rumuńskiej współczesnej, a wreszcie komentarz o życiu i twórczości reprezentowanych tutaj poetów. Na czele zbiorku znajdują się cztery pieśni ludowe, następnie zaś idą nazwiska: Bazylego Alecsandri, Michała Eminescu (poeci dawniejsi), Tudora Arghezigo, G. Bacovii, L. Blagi (chyba nie *nomen-amen*?), A. Cotrusa, Nicefora Crainica, J. A. George'a, M. Jorgi, A. Maniu i in. Zastrzega się tłumacz, że daleki jest od myśli o „całokształcie". Przypuszczać można, że z zasobu poezji rumuńskiej wziął albo rzeczy najcelniejsze, albo to co najbardziej odpowiadało jego upodobaniom; raczej może to drugie, zważywszy, że te „tematy" są w znacznej części właściwie jednym tematem: pieśnią ziemi ornej, co dla rolniczego naogół kraju, jakim jest Rumunja, musi być charakterystyczne (pasterska ludność Karpat Wschodnich widocznie mniej dochodzi do głosu w poezji). Nie należy jednak snuć wniosków o jakiejś monotonji nastrojów czy treści. Temat ten — odwieczny, a przecie nigdy niewyczerpany — ujęty jest wielostronnie, a w języku polskim nabrał pod piórem Zegadłowicza swojskiego nam, bliskiego dźwięku. Z wyjątkiem przelotnych chmur pesymizmu (Eminenscu) literatura ta tchnie zdrowiem i tężyzną ludzi, nieprzeżartych jeszcze zbyt rafinowaną kulturą. (J. B.)

*

Pod pseudonimem J. Boleszczyca ukazała się powieść „Zmartwychwstaniecie Młodzi!"... (Warszawa 1932. Kronika Rodzinna). Utwór ten zasługuje na uwagę nie tyle ze względu na swoją wartość literacką, ile jako ciekawy dokument chwili. Jest to pierwszy występ młodziutkiej autorki. Co dziś uwagę młodych panienek pochłania? Kryzys, bankructwo, zajęcie, licytacja, komornik. W jakże smutnych i beznadziejnych warunkach dojrzewa nasze młode pokolenie. Więc bunt się zrywa — „Zmartwychwstaniecie młodzi" — woła J. Boleszczyc. Ale wobec tego hasła staje bezradna i tylko w cudzie widzi zbawienie (spadek, jaki otrzymuje szlachetny sąsiad). Tą drogą nie zdobywa się przyszłości. Trzeba głębiej sięgnąć do duszy ludzkiej i zdobyć się na energję, na czyn. Młoda autorka bezprzecznie z łatwością włada piórem, tego jednak za mało, aby posiąść oryginalną twórczość. Z szablonu i ckliwości wyjdzie autorka wtedy, gdy dojrzeje duchowo i potrafi ogarnąć cały bezmiar tragicznych przeżyć, w jakich się miota Polska. J. Boleszczyc winna pamiętać, że łatwo zostać Mniszkówną, trudniej już np. Zapolską, niech więc przeto zbytnio się nie spieszy z wydaniem nowego utworu. (Ł).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Nową książkę o Mussolinim napisał Giuseppe Cavaciocchi, p. t. „*Mussolini, sintesi critiche*" — (Florencja, Wydawca Valcechi. — 1932). Nie jest to, jakby zdawać się mogło, biografja, lecz studjum charakteru, który nadał ton nowym pokoleniom Włoch.

Mussolini jest postacią skomplikowaną, nic więc dziwnego, że ocean atramentu został już wypisany o jego osobie. Cavaciocchi, długoletni pracownik Biura Prasowego przy Szefie Rządu, przedstawił go w jego chwilach najbardziej typowych. Są to nieledwie zdjęcia błyskawiczne ducha i umysłu *Duce*.

Autor mówi o Mussolinim: „Nim narzucił surową karność narodowi, sam jej ściśle się poddał"... „Popełnia wielki błąd Mąż Stanu, co mówi ludowi więcej o jego prawach, niż o obowiązkach". Mussolini potrafił połączyć dbałość o równowagę między prawami obywateli a ich obowiązkami. Zasada ta odbija się na całej działalności tego wielkiego statysty. Dzięki tej zasadzie potrafił on osiągnąć harmonję między kapitałem, pracą i techniką. W polityce wewnętrznej doskonałe przewidywanie różnych potrzeb ludności, nieustanny wysiłek coraz lepszego wyzyskania bogactw naturalnych i surowego materjału charakteryzuje jego rządy; w polityce zewnętrznej postawienie Włoch w rzędzie wielkich mocarstw jest dziełem wodza faszyzmu. (E. N.)

*

Zbiór nowel A. Beltramelli'ego p. t. „*Novelle della guerra*". (wyd. Mondadori) z przedmową Arnalda Mussoliniego są dziełem pośmiertnem tego przedwcześnie zmarłego pisarza. Talent jego odznacza się prostotą wyrazu i żywem ujęciem postaci. Przewodnią nicią wszystkich jego utworów jest gorąca miłość ojczyzny. Beltramelli był z tego pokolenia, co głęboko jeszcze czuło upokorzenie zadane Włochom pod Lissą (1866), a potem pod Dogali (1887). Lecz rana jątrząca właśnie nieznośnym swym bólem obudziła reakcję. „Dogali to fakt tragiczny, ale zarazem i przedświt dnia nowego. Od tej chwili poczęły się rozwijać nieuniknione, szkodliwe politycznie skutki niedbalstwa ówczesnych rządów włoskich, ale też objawiła się po raz pierwszy i moc ducha społeczeństwa włoskiego".

Każda z nowel tego tomu, a jest ich 21, ma za temat jakiś epizod albo z wojny Libijskiej, albo z Wielkiej Wojny. Każdy zaś epizod porywem bohaterskich zmagań się przemawia do najgłębszych strun duszy każdego patrjoty. Rzeczywistość tak już odległa, zdaje się jednak wciąż żywą. Cierpimy i unosimy się wraz z tymi ludźmi, których nam autor maluje; bo też wziął on ich żywcem z życia. Byli to wszystko jego towarzysze broni, przyjaciele, których dusze z dnia na dzień coraz lepiej sondował aż do dna. Dusze—czary, pełne nektaru uczuć prostych, dusze nieświadome swej wielkości, a tak wzniosłe!

Arnaldo Mussolini w swej przedmowie tak się wyraża: „Beltramelli dał przykład godny naśladowania, pisarza, co uważa swe pióro za najlepszą broń do walki o dobro. Beltramelli jego jest chlubą wspólnej nam rodzinnej ziemi, my, faszyści możemy się nim słusznie chełpić". (E. N.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

PRZEZ cały marzec w Zachęcie gościł Fryderyk Pautsch. Trzy sale, w tem jedna największa, ledwie pomieściły 101 obrazów, między któremi znajdowały się płótna olbrzymie, zajmujące bez mała całą ścianę. Prace przedstawiały dorobek dwudziestu siedmiu lat: 1905 – 1932 rok. Mając w ręku katalog, z odnotowaną datą powstania każdego z dzieł, można było robić między niemi porównania i w ten sposób zarysować sobie linję rozwojową artysty. Pod względem tematu Pautsch kroczy od dużych kompozycyj figuralnych, poprzez portrety zbiorowe, do portretu, martwej natury, wreszcie studjum charakterystycznego i pejzażu. Ta różnorodność treści (literackiej) wcale nie kłopoce krytyka, jak to mniema p. Popowski we wstępie do katalogu. Przedewszystkiem powoduje ją czas, jak to widać chociażby z dat wykonania poszczególnych obrazów. Czas, który rozmaicie wpływał na upodobania artystyczne w wyborze i faworyzowaniu pewnych tematów. Tym wpływom poddawał się Pautsch może za bezkrytycznie. I poddaje się jeszcze teraz, malując przeważnie martwe natury i pejzaże. Lecz dla krytyka większą niespo-

dzianką i trudniejszą do określenia byłaby różnorodność ujęcia nie tematu. Bo malarz w coraz to innej treści — literackiej, może szukać ciągle tej samej treści malarskiej, którą sobie upodobał.

Przyjrzyjmy się więc artyście raczej od strony malarstwa, a nie tego, co ono wyobraża. Gdy mowa o Pautschu, zwykło się podkreślać jego żywiołowość, jego nieokiełznany (jakoby) temperament. O tem wszyscy wiedzą. Jak ta żywiołowiość się uzewnętrznia, o tem już nie wszyscy jednakowe mają wyobrażenie. P. Popowski pisze: „niesamowity rozmach ręki, smaganie pędzlem, niby pejczem“ i t. d. Ślicznie. Weźmy np. dwa wczesne duże obrazy, kompozycje: „Dziady“ i „Pochód Słowian“. Temperament objawia się tu przez wybór tematu, pozwalającego na pstrokaciznę barwnych plam, zgiełk kształtów, pląs linij, niedbale określających formy. Ten hałas nas ogłusza, istotnie jest w nim pewna siła, ale pod pierwszem wrażeniem jej natężenia nie rozeznajemy walorów artystycznych, jakie może posiadać. Powtórny wgląd w szczegóły obu dzieł zapoznaje nas z ich techniką niezbyt bogatą pod względem faktury i wcale, jakby się to na pozór wydawało, nie zamaszystą, ale, powiedzmy szczerze... dość nudną. Ani śladu „niesamowitego rozmachu, smagania pędzlem“... Rozmachowi treści plastycznej nie odpowiada wcale rozmach techniki malarskiej. Przeciwnie, więcej w tych obrazach odwagi, niż umiejętności, więcej nieokiełznania, niż temperamentu malarskiego. Stopniowo, możnaby powiedzieć: jednocześnie ze zmniejszaniem się wymiarów płócien, zyskuje strona malarska. Portret rudego pana z roku 1919-go jest już zadaniem *par excellence* malarskiem. Artysta różniczkuje fakturę, osiąga ciekawe harmonje przez ożywienie całości szczęśliwie pomyślanym szczegółem barwnym (np. w jednym z portretów żółte pudełko zapałek), umie posługiwać się zdobyczami impresjonizmu i puentylizmu (twarz rudego pana). Jednocześnie pozostaje ta sama dosadność charakterystyki kształtu. Ostatnie prace Pautscha — to dzieło dużej kultury malarskiej, jak np. „Martwa natura“ (z r. 1928), zakupiona do zbiorów Zachęty, zarazem pełne werwy w operowaniu pędzlem, np. „Baba u okna“ (1931 rok). Dość porównać te prace z fragmentem jakiejkolwiek z dawniejszych, aby się o tem przekonać. Po dawnym „barbarzyńcy“ zostały tylko wspomnienia. I może trochę żalu. Przemawiał coprawda stylem nieokrzesanym, ale to, co mówił, często pełne było wyrazu i nastroju. Dziś dobrze wychowany pan mówi do nas bardzo pięknie... cyt, nie mówmy tylko o czem.

*

Pozatem w marcu wystawiała Stankiewiczówna całą kolekcję grafik (akwaforty), a także stowarzyszenie „Pro Arte“ urządziło swoją wystawę.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„PYGMALJON“ Bernarda Shawa, wznowiony w Teatrze Polskim wytrzymał próbę czasu. Nie utracił nic ze swojej świeżości, nie zestarzał się ani troszeczkę od chwili, kiedyśmy go zobaczyli na tej samej scenie, lat temu, jeżeli się nie mylę, ośmnaście. Nie zmierzchł blask olśniewających paradoksów. Nie stępiały ostrza dowcipów. Komedja bawi nas, wzrusza, zachwyca, jak wówczas, gdy była nowalją.

Rzecz dzieje się w przedwojennym Londynie. Henryk Higgins, genjalny badacz lingwistyki, interesujący się specjalnie fonetyką, doprowadził słuch swój do takiej doskonałości że z paru słów, wypowiedzianych na ulicy przez pierwszego lepszego przechodnia, potrafi odrazu odgadnąć, w której mianowicie dzielnicy miasta dany osobnik mieszka. Higgins pochodzi z zamożnej, burżuazyjnej rodziny. Chociaż jednak posiada pieniądze, które mu umożliwiają kosztowne studja naukowe, nie gardzi zarobkiem. W wolnych od pracy badawczej chwilach udziela bogatym perweujuszom za słone honorarja lekcyj poprawnej wymowy. Otóż pewnego posępnego wieczora, gdy deszcz lał jak z cebra, Higgins, schroniwszy się pod kolumnadę kościoła św. Pawła, spotkał tam w tłumie zgromadzonych przypadkowo osób ubogą, obdartą, brudną, ale przystojną kwiaciarkę uliczną, przemawiającą ohydną, ordynarną gwarą londyńskich śmieciarzy. W tłumie z wyroków niezbadanego losu znajdował się drugi jeszcze językoznawca, z którym Higgins założył się o grubą sumę, że w przeciągu trzech miesięcy nauczy mówić ową kwiaciarkę językiem tak poprawnym, iż można ją będzie śmiało przedstawić jako księżniczkę w salonie każdego ambasadora.

Przemiana kwiaciarki ulicznej w damę z towarzystwa usprawiedliwia tytuł komedji. Jak niegdyś Pygmalion wyrzeźbiwszy z bezkształtnej bryły marmuru posąg cudownie pięknej kobiety, zakochał się w nim do tego stopnia, że posąg ów za łaską bogów ożył i mógł zostać jego żoną, tak samo Higgins, wygrawszy zakład, zakochał się w Elizie Doolitle. Czy ją poślubił? O tem niewiadomo. Był człowiekiem rozmiłowanym w wolności. Wolno jednak snuć domysły, że w pewien czas po ostatecznem zapadnięciu kurtyny nowoczesna Galatea potrafiła go do ślubu nakłonić. Ale to tylko domysł. Autor nie położył kropki nad i. Pozostawił tę sprawę w zawieszeniu. Szło mu o co innego, niż o opowiedzenie romantycznej historyjki.

O co mu szło:

Jak zawsze o satyrę społeczną i o djalektyczne udowodnienie filistrom, zaśniedziałym w konwencjonalizmie, że kultura obyczajowa, którą się szczycą jest rzeczą łatwą do zdobycia dla byle proletarjuszki.

Dowód swój przeprowadził Shaw świetnie. Niema chyba w teatrze widza, któryby nie przyznał autorowi racji przynajmniej... konwersacyjnej. Życie powojenne w Europie przyznaje mu raz po raz rację merytoryczną. Ileż to przedstawicielek dzisiejszej arystokracji pochodzi ze sfer bliskich sferze Elizy Doolitle.

Przedstawienie „Pygmaljona“ przygotowane zostało bardzo starannie. Pomimo jednak wszystkich komplementów, które należą się reżyserji, niepodobna uznać obsady aktorskiej za właściwą. Ani rola Higginsa nie zgadza się z temperamentem pana Węgierki ani rola Elizy Doolitle z rodzajem talentu panny Romanówny.

Higgins reprezentuje w sztuce samego autora, który powiedział gdzieś o sobie, że jest „urodzonym linoskoczkiem z temperamentem kaznodziei“. Przyznając się do „cygaństwa“, lekceważąc sobie „dobre tony“, i tym podobne dyrdymałki bohater Shawowski nie powinien ani na chwilę tracić wrodzonej szlachetności. Może być żywiołowy brutalny. Pocóż jednak robić z niego „chama na zimno“. Zarówno scena rzucania pieniędzy w odsłonie pierwszej, jak też wrzucania czekoladki do ust Elizie w odsłonie drugiej raziły brakiem spontaniczności. Były to „odruchy z premedytacją“. O wieleż więcej naturalności, miękkości, swobody miał niegdyś pan Zelwerowicz.

Patrząc na grę panny Romanówny wspominaliśmy nie bez wzruszenia wspaniałą kreację pani Przybyłko Potockiej. Przyznać musimy, że obecna odtwórczyni roli Elizy robiła wszystko, co mogła, żeby zadaniu sobie powierzonemu sprostać, zadanie to jednak przerastało jej siły.

Natomiast p. Dominiak, jako ojciec Elizy, był doskonały. Świetna scena, w której stary Doolitle, odwiedziwszy profesora Higginsa, oświadcza mu, że gotów jest oddać córkę „na naukę“ za 5 funtów, a „nazawsze“ za 50 funtów, pozostawi nam miłe wspomnienia.

ZASTĘPCA

FILM

STYLOWY: „Legjon ulicy“ reż. A. Ford. Na podkreślenie, pochwałę i p o p a r c i e zasługuje próba zerwania z dotychczasowym szablonem tematów w naszych filmach, próba przeprowadzona w „Legjonie ulicy“. Film bez dorosłych, przedstawia życie małych gazeciarzy; grali — z małemi wyjątkami — oni sami — interesuje przeto kwestja, w jaki i czy właściwy sposób reżyser użył tego tak odrębnego materjału „aktorskiego“? Oczywiście, błędem byłoby stawianie dzieci w sytuacje dorosłego aktora, zwłaszcza u nas używanego zbyt

teatralnie. Nieodpowiednie również byłoby nadużycie solistów i ról pierwszoplanowych. Błąd ten reżyser w pewnej mierze popełnił, dając kilka, a właściwie — zupełnie niepotrzebnie — jedną postać czołową (Stefek Rogulski). Nie w tem jednak sęk, gorzej, gdy chłopakowi każą udawać dorosłego, przeżywać, pokazywać (zapomocą mimiki!) co on czuje w danej chwili, np. scena przy łóżku chorej matki. Natomiast sceny zbiorowe wypadły zadowalająco: chłopcy „grają" bardzo dobrze, bo właściwie wcale nie grają tylko poprostu są sobą. Nieźle wypadły również momenty z solistami (Stefek Rogulski, Tadzio Tijewski, Zosia Mirska) ograniczone do ruchów i gestów i pomysłów sytuacyjno-ruchowych, a więc najwłaściwsze: np. odwiedziny chorej w szpitalu, nocleg i bójka w rurze kanalizacyjnej. Reżyserja nierówna: obok fragmentów zupełnie szczęśliwych i ciekawych — niedbałe. Scenarjusza niema. Film odpowiedni dla dzieci i młodzieży.

*

ŚWIATOWID „Szanghaj - Express" reż. J. Stenberg. Istnieją utwory dla szerokiej publiczności i dla mniej licznych, zato bardziej wybrednych. Stawiając sprawę w ten sposób, pierwsze traktuje się jako tandetny produkt masowy, rezerwując ambicje artystyczne wyłącznie dla drugich. Lecz obok tego pojawiają się dzieła, przez swą treść wizualną, fabułę, ujęcie, dostępne dla wszystkich, a przytem w pierwszorzędnym gatunku, solidnie wykonane, jak wyroby angielskie. Dobry gatunek, solidność wykonania — te właśnie słowa najlepiej określają ostatni film Stenberga. Zgodnie ze zwyczajem amerykańskim hołduje on systemowi „gwiazd". Supremacja aktora nad innemi elementami kina w jego filmach jest zupełnie widoczna. Surowym klasykom kina — o ile tacy istnieją — może się to nie podobać, natomiast ujmie ich bezwzględność i maestrja batuty reżyserskiej, kierującej aktorem. W „Szanghaj - Expressie" grają trzy „gwiazdy": Marlena Dietrich, Clive Brook i Anna May Wong. Film mówiony. Podkład dźwiękowy dyskretny, nie muzyczny, lecz szmerowy, skomponowany ze stukotu kół pociągu i wszystkiego, co się mniejwięcej słyszy podczas jazdy. W czasie rozmów wszelkie inne odgłosy ustają, co jest pomysłem nie nowym, nie zawsze jeszcze jednak stosowanym. Jak i poprzednie, tak i ten utwór Sternberga emocjonuje, przyczem tu, więcej niż gdzieindziej, ciężar zainteresowania kryje się w djalogach i ich *pointe*. Mimo to film nie nuży, gdyż i strona wizualna zmontowana została interesująco, przez dobre dozowanie obrazów w ich logicznie związanej kolejności. Treść scenarjusza nie nazbyt frapuje oryginalnością; w *happy end* reżyser czyni rozpaczliwe wysiłki, aby odbanalizować sakramentalny pocałunek. Zdjęcia piękne, soczyste i miękkie, jak zawsze u Sternberga. Wrażenie psują tylko napisy polskie, pokrywające nieraz połowę obrazu. Oczywiście w oryginale tego niema.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. BISKUP KS. ZYGMUNT ŁOZIŃSKI

W SPOŁECZEŃSTWACH kulturalnych wybitne jednostki pod względem etycznym i duchowym winny być i są zazwyczaj cenione. Jeżeli tak jest w czasach normalnych, tembardziej musi mieć miejsce w okresach przełomowych, powojennych, które powodują tyle naprężenia w pojęciach etycznych, prawnych, społecznych, każda też strata, jaką na tem polu społeczeństwo wtedy ponosi, staje się bardzo dotkliwa i jest przez jego uświadomione sfery mocno odczuwana. Taką stratę Polska katolicka poniosła obecnie w osobie ks. Zygmunta Łozińskiego, biskupa pińskiego, który w chwili, gdy świat chrześcijański gotował się do obchodzenia dni, związanych ze Zmartwychwstaniem, oddał Bogu ducha, osierocając djecezję, której godnie w ciągu przeszło 13 lat przywodził. Urodzony w r. 1870, po ukończeniu szkół oraz po odbyciu studjów teologicznych zmarły długie lata pracował na gruncie petersburskim. Tutaj był prefektem w szkołach, profesorem w Seminarjum duchownem oraz w Akademji Duchownej. W r. 1908, gdy ś. p. Arcyb. Cieplak udał się na pamiętną wizytację Syberji, towarzyszył mu w podróży, będąc zarazem niejako jej kronikarzem. Pod koniec pobytu nad Newą został kanonikiem katedralnym oraz rektorem kościoła Maltańskiego. Mianowany w r. 1917 na stolicę biskupią w Mińsku, udaje się w r. 1918 do kraju i po konsekracji obejmuje rządy w djecezji — na terenie, objętym rewolucją bolszewicką. Terror, szalejący w Rosji wszędzie, tutaj dał się mocniej we znaki podczas wojny z Polską. Prześladowany przez władze sowieckie i pozbawiony możności sprawowania swych obowiązków, Pasterz zmuszony jest szukać przytułku w pewnej zapadłej wsi, w chacie chłopskiej — tam w przebraniu przebywa, nie gardząc najcięższą pracą fizyczną, do chwili nadejścia wojsk polskich. Po uwolnieniu z opresji bolszewickiej przybywa na krótki czas do Warszawy i tu za swą męczeńską i pełną poświęcenia pracę trafia do liczby pierwszych 12 zasłużonych działaczy, nagrodzonych orderem Orła Białego. Niebawem wraca do Mińska, a gdy wojska polskie rozpoczęły odwrót, ponownie zmuszony jest zetknąć się z bolszewizmem i jego okropnościami. Po zawarciu pokoju w Rydze, pozostawiającego Mińsk po tamtej stronie, przenosi swą siedzibę do Nowogródka, w r. zaś 1926 — po przemianowaniu na podstawie konkordatu djecezji Mińskiej na Pińską — do Pińska.

Zmarły Pasterz, można powiedzieć, stworzony był dla ciężkich trudów i cierpień, stale też stronił od wszelkich wygód i zaszczytów. Już w Petersburgu za niezłomne swe stanowisko w sprawie uczęszczania uczniów katolików do cerkwi uległ zesłaniu na pewien czas do Agłony, największe jednak trudy czekały go po wyniesieniu na stolicę biskupią. Djecezja Mińska od dłuższego czasu nie była obsadzona, przestała też właściwie istnieć, jako samodzielna kościelna jednostka organizacyjna, pozostając pod władzą arcybiskupa mohylowskiego. Nowemu Pasterzowi wypadło więc kłaść podwaliny dla djecezji, i to w warunkach najcięższych — wojenno - rewolucyjnych. Pełen jednak energji, silnej woli i zaparcia się wziął się do pracy. Pozbawiony elementarnych wygód, nie dbał wcale o nie. Cechowała go zawsze i na tem wysokiem stanowisku wprost niezwykła prostota i skromność. Nigdy też nie uskarżał się na osobiste braki, czyż mógł bowiem odczuwać je, skoro znaczną część swych, i tak dość skromnych, dochodów oddawał na cele diecezjalne i społeczne. Wszystkie Jego zabiegi miały na celu dobro djecezjan oraz interesy instytucyj kościelnych, szczególnie zaś Seminarjum duchownego. Powołał do życia cały szereg placówek duszpasterskich, tak bardzo potrzebnych na Kresach Wschodnich, gdzie ludność wskutek znacznych odległości pozbawiona nieraz bywa stałych posług religijnych, a gdzie przeciwnie prawosławni, będący w większości, posiadają znaczną ilość świątyń. Zresztą wiele pracy poświęcał sprawie misyjnej.

Będąc uosobieniem cnót chrześcijańskich i kapłańskich, świętobliwości oraz niezłomności, wywierał ogromny wpływ wychowawczy na duchowieństwo — przykładem, pracą jak również wydawanemi dlań dziełami. Z całą też bezwzględnością oraz odwagą cywilną zwalczał wszelkie nieprawości w życiu domowem i społecznem. Chętnie ustępował, gdy tego wymagało dobro Kościoła, nie szedł jednak na żadne kompromisy i przetargi, gdy sprawa zahaczała o zasady. Za te swe cnoty był wysoko ceniony przez ludzi zdrowych moralnie, niejednemu zaś, hołdującemu etyce powojennej oraz korzyściom doraźnym — musiał się narazić, nie przejmował się tem jednak bynajmniej, niczego bowiem nie czynił dla przypodobania się komukolwiek.

Zarzucano Mu w swoim czasie niezbyt trzeźwe ustosunkowanie się do kwestji białoruskiej — lecz i tutaj nikt nie mógł Mu odmówić uczciwości pobudek: miał najlepsze chęci, były one jedynie oparte na mylnych przesłankach. Co się zaś tyczy spraw ogólno-narodowych i państwowych, to poglądy Zmarłego zawsze nacechowane były powagą oraz przenikliwością. Dowodzi tego chociażby fakt, że gdy do Petersburga dotarła wieść o proklamowaniu przez Państwa Centralne w listopadzie 1916 r. fikcji niepodległości Polski, publicznie ostrzegał rodaków przed entuzjazmowaniem się.

Oddany całą duszą sprawom swej djecezji, Zmarły jako prawy obywatel Państwa, wrażliwy był równie niezmiernie na jego dolę i niedolę oraz gorąco brał do serca wszystko to, co mu wyrządzało szkodę lub krzywdę, co je osłabiało lub poniżało, jednym zaś z wielu dowodów troski o to będą chociażby te pełne bólu słowa, któremi niedawno zakończył list do jednego ze swych przyjaciół: „Niechaj Bóg zmiłuje się nad naszą biedną Polską!" A jak wzniosłą miłością chrześcijańską obdarzał wszystkich, świadczy ten niezwykły pośmiertny list pasterski, który został odczytany podczas Jego pogrzebu.

Surowy w życiu osobistem, a wymagający w stosunku do podwładnych oraz wiernych, Zmarły odznaczał się zarazem ogromną pogodą, a nie opuściła ona Go nawet w ostatnich dniach żywota, złożony bowiem ciężką chorobą znosił ją z niebywałą cierpliwością i bez najmniejszego szemrania.

Pamięć o tym prawdziwym Słudze Bożym, a wiernym synu Ojczyzny, pozostanie na zawsze w sercach tych, co Go znali lub Jego zbożne prace umieli ocenić. (D. I.)

OFENSYWA

„BABY“ COUDENHOVE

DYKTATORA Stalina *juiverie militans,* czyli elita izraelity czyli *upper ten tousand* (wyższe dziesięć tysięcy) żydów, wojujących obecnie o zapanowanie nad światem, o władztwo nad światem, o tyranję nad światem... dyktatora Stalina żydostwo, opanowane obecnie obłędem zagarnięcia całej ludzkości pod swe stopy, a równocześnie właśnie teraz się rozkładające, degryngolujące, demaskowane i za swą megalomanję nieuleczalną tępione, otóż... tego dyktatora Stalina... żydostwo światowe coraz mniejszą już zaczyna otaczać estymą.

Za rządów Stalina bowiem przyszły gorsze czasy na żydostwo rosyjskie. To też nienawiść i żądza zemsty w Izraelu rosyjskim jest widoczna, choć pozornie tajona, maskowana i przyciszana. Jużby go chcieli widzieć na łożu śmierci, 2-giego kwietnia już roztelegrafowali ze swojej twierdzy z Rygi, że jest na ostatnich nogach, że z Berlina jedzie prof. Zondeck i że „Trockiści podnoszą głowę“. „Trockiści“ czytaj: *nachamkesy.*

Stalina tedy żydostwo światowe nienawidzi. Ale stara się mówić o nim z kurtuazją. A jednak tak to jakoś wypada z relacyj i korespondencyj dziennikarskich, jakby mówili o... Hitlerze. *Par exemple*: Sympatyczny i zanglizowany redaktor polityczny naszej urzędowej „Gazety Polskiej“ Fl. Sokołow, wysłany zostaje do sowietów *ad captandam*, poczem pisze o tem długie artykuły (słabe); widział Stalina w teatrze, w loży partyjnej. Oto jak go opisuje:

„Twarz wschodnia, obca, o rysach ostrych, kłócących się z łagodnem spojrzeniem wielkich, czarnych oczu. Ruchy powolne, nieśmiałe. Średniego wzrostu, ubrany skromnie Stalin robi raczej wrażenie przeciętnego mieszczucha kaukazkiego, niż dyktatora Unji Sowieckiej“.

Przeciętny mieszczuch...

A teraz jak w „*Matin*“ J. Kessel (z Kijowa jewrejczyk) opisuje.. Hitlera:

„Nigdy nie odczuwałem podobnego osłupienia i rozczarowania. Przedemną stał człowiek ubrany w pospolity, czarny garnitur, bez elegancji, bez potęgi, bez odrobiny wdzięku, przeciętniak o smutnym, d o s y ć g m i n n y m wyglądzie. Piękny przedział z boku dzielił jego włosy gładkie i bez połysku. Wąskie czoło, krótki zadarty nos i czerwone policzki. Nad małemi ustami wąsik zredukowany do czarnej plamy wywoływał wrażenie błazeńskie“.

„Dosyć gminny“... „wrażenie błazeńskie“...

Jeszcze bardziej pastwi się nad zewnętrznym wyglądem Hitlera redaktor Appenszlak („Pierrot“):

„Fizycznie jest typem przeciętnym i banalnym: tę banalność charakteryzuje fryzjerski wąsik i przedział“.

Nie podobają się im zatem, ani Stalin, ani Hitler. Ano trudno. Nie każdemu dał Jehowa Adonai urodę... Anatola Mühlsteina... którego fizys urodny, jako że żeni się z którąś Rotszyldzianką, podały niedawno obrazkowe pisma.

Ostatnio „zabrał się“ do „pomniejszania olbrzyma“ i odbronzowania Stalina ten przezabawny Coudenhove — Calergi z Widnia. Żaden żyd, skądże znowu, hrabia, z urzędniczych, zbiedniałych feudałów Coudenhovów, ale przemieszaniec za to rasowy, że pożal się Boże. Coś jakby mieszanina charcicy z jamnikiem. Prababka Polka (Trzcińska) babka Rosjanka niemiecka (Nessekrode) dziadek Moskal (Muchanow), matka Japonka, papa: „*Wianer sajn tas is fajn*, *Wianer kann nicht jeter sajn*“. Sam: Japończyk ożeniony z żydóweczką, aktoreczką Idą Roland (nie Rubinstein jak pisze wianeryzujący „Kurjer Polski“ nr. 91). Chłopaczyna podstarna, ale dziko, chorobliwie ambitna, bo przez ambitną, władzy żądną, ongiś powabną i nie skąpą w uszczęśliwianiu adorantów Rachelę pchany i dźgany do odgrywania polityczno-historycznej roli. „Mąż Idy“ od szeregu lat jest Paneuropejczykiem. Poprzeczytał kilka broszur i książek, które mu cwane żydki skolekcjonowały i naniosły, zaczął z tego klecić artykuły, to krótsze, to dłuższe i stał się apostołem. Z typowego wiedeńskiego Schnitzlerowskiego Anatola i gigerla, gogusia, dandyska, dzięki ostremu treningowi Idy „Roland“ (Margulies?) no i dzięki jerychońskim trąbom kilkudziesięciu prasowych szajgeców (*Schongeist*'ów) stał się *celebrité*, *capacitas*... figura. Ida obwozi go po różnych metropoljach. Byli i w Warszawie. Przy dużej już, opasłej Semitce wyglądu Calergisek jak breloczek. Pętali się i po Genewie w jednym sezonie. „Salon polityczny“, *lunch*'e, rauty, wywiady dla *associated press*: dokoła żydki w okularach z notesami, za biurkiem rozgadane kędzierzawe *Baby*, a za plecami *Baby* uśmiechnięta, mądra Ida ze swojemi ideałami. Dość duży wtedy kłopot miał nieboszczyk Briand z tym *cosmopollison*'em czy cosmopoliszylem wiedeńskim, bo ostatecznie ta cała gazetkowa trupa Idy „Roland“ dyskredytowała mu, ośmieszała, wulgaryzowała i *ad absurdum* doprowadzała starą jak świat, a ulubioną jego ideę Stanów Zjednoczonych Europy. Jakże można było serjo traktować tę kabaretową parkę, tak żywo przypominającą nowelę Pierre Louysa: „*La Femme et le Pantin*“? To też Briand całkowicie zbagatelizował pobyt nad Lemanem wiedeńskiego gigerla i jego pulchnej, ale podstarzałej, paneuropiejącej magnifiki, jak zresztą lekce sobie ważą tę „historyczną postać“ wszyscy, co nie bywali i nie bywają u nich na obiadkach...

Poważnie bierze ten „ruch“, „kierunek“, „prąd“ polityczny nasz biedny, bezrobotny Lednicki. Wnuk Muchanowa i jego Idea: Roland zaimponowali mecenasowi prezesowi kolosalnie i dozgonnie. Zebrał sobie trochę łyków, trochę Warszawskich, jednego Gumplowicz, jednego „hrabiego Pruszyńskiego“, „senatora Ewerta“, dwóch byłych ministrów, p. Łypacewicza, panią Anielę Zagórską i zrobił z tego farsowego *melange* wprost imponującą filję „Związku Paneuropy“... W najbliższych dniach do związku przystępują: Kiepura, jego brat Ladis, astrolog Starża - Dzierzbicki, Ordyński i Hanka Ordon

„*Le petit Calergi*“ wydał ostatnio broszurę p. t. „Stalin et Comp.“ Jest to „*Standard work*“ znakomitego myśliciela i męża stanu Idy Roland. Dzieci nie mają, więc „on pisze i pisze, a ona go kołysze“... *Baby* w nowem dziele znów przypomina swój „system Müllera“: Paneuropę i ostrzega Europejczyków raz jeszcze, aby poszli za nim i za Idą, bo będzie źle z nimi. Niechże się do djabła opamiętają! Przeciw Stalinowi trzeba zaaranżować wspólną, zbrojną krucjatę. Ida Roland i jej goście okropnie nie cierpią tego Gruzina... odkąd biedny Bronstein na banicji, a żydóweczkom w G. P. U. (t. zw. „myszkom“) już nie zawsze wolno w piwnicach osobiście zastrzeliwać carskich popów i oficjerów. *Baby* Calergis przyznaje Stalinowi pewne pozytywne rezultaty, owszem! ale właśnie dlatego: *nach Osten! nach Ostland.!!* *Baby* chce „jednolitego frontu“ i marsz! szlakiem Bonaparta! Ida Roland zawiodła się na bolszewikach, od kiedy i tam coś zaczęło się psuć w interesach jej współwyznawców. Więc *Baby* musiał prędko napisać swój testament polityczny: „Stalin et Comp“.

Wśród bywalców i gości mecenasa Lednickiego dzieło *Baby* Calergi zrobiło wstrząsające wrażenie. Członkowie Związku cytują na pamięć co przedniejsze miejsca ustępowe. Często w toku bridża ktoś przerwie, wzywając gromko obecnych, aby zapisywali się do „Strzelca“ lub przynajmniej do L. O. P. K. A. Doktór Langrod słusznie nazwał *Baby* Calergi „Piotrem z Amiens naszych czasów“. P. Aniela pisze *essay* p. t. „Conrad a Calergi“. Senator Everth zdecydowany jest protegować Idę i jej męża do nagrody Nobla.

Całkiem serjo omawiała też ostatni utwór znakomitego Idealisty: „Polska Zbrojna“.

Stalin po przeczytaniu tak ciężko zaniemógł, że redakcje warszawskich brukowców musiały do „umierającego“ (*sic*) wezwać profesora aż z Berlina.

Tylko dzięki temu nad wieczorem wyzdrowiał...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W artykule wstępnym zeszłego tygodnia pisaliśmy o udzielonych przez parlament pełnomocnictwach (poseł Stroński):

— „Żąda się pełnomocnictw w ciemności i pustce... Jedynem następstwem... musi być wzmożenie niepewności... Pełnomocnictwa jeszcze nigdy i nigdzie nie zastąpiły ani myśli, ani wiedzy“...

Jakby w odpowiedzi na te obawy prasa półurzędowa rozniosła uspokajającą wieść, że powołano na naradę do Spały pp. Świtalskiego, Sławka, Prystora i w dodatku ze Lwowa prof. Bartla. „Czas“ w artykule p. t. „Ważne narady“ dodaje, że kursy takie będą się odbywały częściej w tem samem gronie.

Obywatele rozchmurzyli czoło:

— Ano tak, to co innego!

*

Ponure widmo międzynarodówki płynie po morzach do Polski. W prasie codziennej pojawił się taki telegram:

P a r y ż 30-go marca. (P. A. T.) — Według informacyj nadeszłych do Paryża, okręt argentyński „Chaco“ z Buenos Aires, wiozący przestępców rozmaitych narodowości, wydalonych z granic republiki argentyńskiej, a któremu nie dozwolono na wylądowanie pasażerów ani w Marsylji, ani w Genui, przepłynął wczoraj kanał kiloński, zmierzając do Gdańska.

Oczywiście do Gdańska! Gdzież dogodniejszy punkt oparcia dla „międzynarodówki“, jeśli nie Polska? Przecież te „rozmaite narodowości“ — to Żydzi, handlarze żywego towaru.

TREŚĆ: Przyszłość gospodarcza świata *Z. Raczkowskiego.* — Szkocja i Walja *Wł. Tarnawskiego.* — Prawdziwe oblicze Sulli *St. Kozickiego.* — Współczesny stan astronomji *J. Wasiutyńskiego.* — Pieśń dziecięca (z Kiplinga) przekł. *St. Pieńkowskiego.* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Głosy. — Nauka i literatura. — („Księga Pamiątkowa dziesięciolecia Bibljoteki w Bydgoszczy" *Ign Chrzanowskiego* i t. d) — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Teatr *Zastępcy.* — Film *Kandyda.* — Zmarli. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.